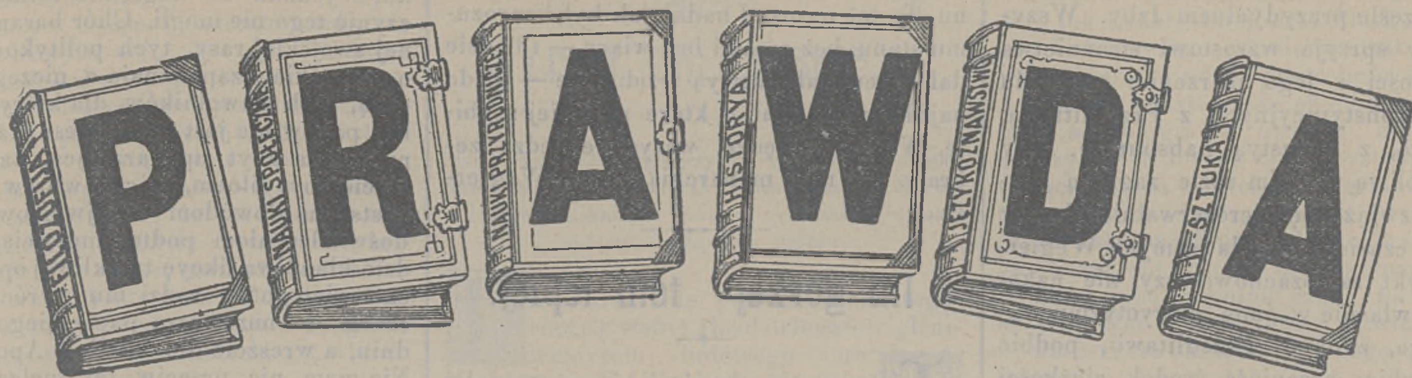
Nr. 28 (1176). Warszawa, dnia 28 Czerwca (11 Lipca) 1903 r. **Rok XXIII.**



PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



POLITYKA.

Zamęt w Austryi.

Przesilenie węgierskie nie dało się zażegnać wprowadzeniem nowych ludzi, z których jeden, przewodzący innym, jest już mocno zszarzany, a utrzymaniem starych haseł, z których żadne nie odpowiada na zasadniczy ton węgierskiej symfonii politycznej, naród cały za Litawą i powszechność całą przed Litawą w stanie przesilenia utrzymującej. Położenie pogorszyło się jeszcze po mianowaniu nowego gabinetu Khuena. Stronnictwo niezawisłości na Węgrzech znalazło się nagle pod obuchem konieczności, wtłaczającej je coraz głębiej w radykalizm narodowy, a odrywającej coraz silniej od austryackiej połowicy. Żaden gabinet, rozpoczynający swój żywot, nie doznał jeszcze takiego przyjęcia, jakie tłum w to stronnictwo wcielony, zgotował byłemu banowi Chorwacyi. Posiedzenie wieczorne Izby poselskiej w Peszcie dnia 30 z. m., mimo szczerych tym razem wysiłków Apponyi'ego, było wypełnione takim gniewem i nienawiścią, taką zaciętością i nieubłaganiem, że nawet największy dotychczas wróg Habsburgów a szermierz praw narodowości węgierskiej, Franciszek Kossuth, w powodzi namiętności postradał swoją powagę, — stał się człowiekiem wczorajszym i przestał być mężem narodowym w tem znaczeniu, jakie temu pojęciu nadają kompozytorowie i wykonawcy zarazem owej symfonii. Nic wyraziściej odmalować nie zdoła pogorszenia się sprawy wewnętrznego pokoju na Węgrzech nad ten jeden fakt, że straszliwy dla Austryi Kossuth nazajutrz po powitaniu Khuena przez radykalną mniejszość Izby zrzekł się przewodnictwa w stronnictwie. Już on nie jest człowiekiem chwili, już chwila go powaliła i teraz cały szereg dalszych przelatywać po nim będzie bez miłosierdzia. Popełniłby syn Ludwika Kossutha błąd wielki, gdyby uległ namowom więcej grzeczności, niż szczerości w sobie mającym i pochwycił napowrót ster, który sam wysunął mu się z ręki.

Do tego znamiennego, przyszłość całą wieszczącego wypadku przyczyniła się rola odegrana przez trybuna podczas przesilenia, w którem szczelinę w rządzie łatano zrazu Stefanem Tiszą, aż wreszcie załatano Khuenem. Kossuth nie zrobił nic więcej, tylko uwierzył w obietnice Khuena i, wskazawszy swemu stronnictwu postawę wyczekującą, umożliwił utworzenie nawet tak licho sklejonego ministeryum, jakiem jest to nowe zbiorowisko ministrów węgierskich. Mowa wstępna Hedervarego, przez mniejszość chwilami przyjmowana wyciem, przez samego Kossutha nazwana nieszczęsną, nie dotrzymała tych obietnic, które przewódca żywiołów gorętszych w części z przekonia, w części z domniemania ukazał był stronnictwu swemu jako zapowiedź urzeczywistnienia marzeń narodowych. Przy wykrętności Khuena a niejasności Kossutha na posiedzeniu d. 30 czerwca ludzie kąpani w gorącej wodzie, z jakich składa się stronnictwo niezawisłości, musieli przyjąć z niedowierzaniem wynurzenia tak jednego jak drugiego, musieli gniewem i ironią odpowiadać na liche, dyalektyczne sztuczki nowego prezesa ministrów, musieli też wypowiedzieć posłuszeństwo niezłomnemu dotychczas i niezłomnie też słuchanemu wodzowi. Przewództwo większości stronnictwa, pozostałej po odpadnięciu jakich siedmiu lub ośmiu, którzy nie chcieli opuszczać osoby, nie przestając trwać przy sztandarze, prawdopodobnie dostanie się Barabaszowi — uosobionemu typowi bezwzględnego, potwornego w swej wyłączności madyaryzmu, o którym raz już mieliśmy sposobność na tem miejscu powiedzieć, że jest on tylko jednym z bardzo licznych na Węgrzech okazów patryotyzmu zwierzęcego, pozbawionego wzroku w przyszłość, wyposażonego tylko w apetyty pochłaniająca na dzień dzisiejszy. Czem będzie wtedy, pod takim przewodem, parlamentaryzm, prawo konstytucyjne, równowaga w życiu politycznem — mówić nie potrzeba. Ruch odśrodkowy do oderwania się od Austryi — nabędzie zdwojonej szybkości, a rozłożyste masy ludu, chwytające hasła jak rzeczywiste czyny i rzeczywiste dobra, dając szałowi podłoże i oparcie, nie zaniedbają w wyborach samych wzmocnić jakość ilością: im więcej będzie posłów radykalnych w sejmie, tem większy żar przejmować będzie ich zasady i dążenia.

Stronnictwo liberalne, które poparło Khuena, aby mieć swój rząd, choćby jakikolwiek, nie będzie go trzymało wbrew własnemu interesowi i tylko dla straszenia nim niezawisłych. Małe zdolności polityczne same przemówią za puszczeniem go na wodę. Nastąpi to już na jesieni, wróżyć byłemu banowi dłuższego żywota ministeryalnego niepodobna. A wtedy w samem tem stronnictwie ukażą się rysy, popękane mury, trzeszczące belki, — ruina. Składa się ono z trzech odłamów, nakrytych niby wspólną kopułą, ale obozujących pod własnymi namiotami. Starzy z Hieronymim, najbliżsi jeszcze Deaka, coraz bardziej znikają przez śmierć i przez wybory; wśród młodych objawia się wiele czułości na muzykę narodową Niezawisłych; trzecie wre-

szcie zrzeszenie, powstałe z dawnych narodowców Apponyi'ego rozpryśnie się od jego własnej ambicyi, zbyt już długo duszonej na krześle prezydyalnem Izby. Wszystko tedy sprzyja wzrostowi stronnictwa niezawisłości i jego marzeniu: zerwaniu węzłów konstytucyjnych z Przedlitawią, z Austryą, z dynastyą habsburską. Czy z niewątpliwą w takim razie zagładą Austryi nie zwiąże się nierozerwalnie, choćby dalsza w czasie, zagłada samych Węgier. Czy instykt samozachowawczy nie nakazywałby właśnie w imię patryotyzmu węgierskiego, zdobyć Przedlitawii, podbić ją dla siebie, przenieść środek ciężkości monarchii — jak to przewidywał już Bismarck — do Pesztu? Pytania te są zbyt poważne, zbyt silnie wyzywają rozum stanu, aby zagorzali, zaślepieni, zarażeni już nierozumem ultra-narodowcy węgierscy chcieli i umieli na nie odpowiedzić.

Zamęt nie byłby doskonałym, gdyby do wojny domowej i wojny narodowej na Węgrzech — jeszcze bez rozlewu krwi toczonej, nie przyłączyła się dymisya urzędniczego gabinetu p. Koerbera. Nawet taki gabinet zadrżał w swoich podstawach od gromów podziemnych, wstrząsających Zalitawią. Tego samego d. 29 z. m., w którym wszyscy ministrowie kładli podpisy swoje na rozporządzeniu z mocy § 14 prawa z d. 21 grudnia 1867 r.,zaprowadzającem pozakonstytucyjny budżet na drugie półrocze, p. Koerber składał panującemu podanie się wraz z kolegami do dymisyi. O co mu poszło—niewiadomo; ale, że nie żądał zniesienia przedwcześnie uchwalonego prawa o rekrutacyi, że nie odczuł potrzeby zrównoważenia stanu prawnego, który w obu połowach monarchii jednakowym być powinien, że nie dotknął żadnej sprawy konstytucyjnej, że nie pomyślał o żadnej nowej idei, nowej zasadzie życia dla tej nieszczęsnej Przedlitawii, że nie zrobił nic takiego, coby człowiek wyższy za swój obowiązek w takiej właśnie chwili przełomowej uznał, to pewna. P. Koerber jest urzędnikiem, jest i prestidigitatorem; nie jest mężem stanu. To też pozostał nadal, jak był, bez rozumu stanu, bez zasad i bez wiary — i będzie dalej sterował Austryą w odmęcie — aż do najbliższych skał, o które nawę jej rozbije. Wszystkie nędze, wszystkie jędze zebrały się nad monarchią Austro-Węgierską.

Im gorzej - tem lepiej.

Ile razy w rdzeniu jakiegoś stosunku ludzkiego tkwi chorobowe jądro, które się ani usunąć, ani zobojętnić nie da, im bardziej on się psuje, tem lepiej dla tych, którzy od niego cierpią. Prędzej bowiem się zniszczy, rozproszy złudzenia i zmusi do radykalnej zmiany. Takim nieuleczalnym, oddawna gnijącym i beznadziejnie na śmierć skazanym stosunkiem jest moralna, społeczna i polityczna zależność pruskiej ludności polskiej od zniemczałego lub niemieckiego duchowieństwa i od zwyrodniałego religijnie, kosmopolitycznego papiestwa. Im więcej czarny lew watykański okazuje okrucieństwa, a czarno-żółte hyeny germańskie żarłoczności, tem dla ich ofiar lepiej.

Z tego względu nie zgrozą, ale oklaskiem powitać należy nowy objaw tej drapieżności na Śląsku. Ponieważ redaktor *Górnoślązaka*, p. Korfanty, nietylko zachował zbyt sztywny kark wobec germanizatorskich rozporządzeń arcybiskupa wrocławskiego, ale został wybrany jako poseł do parlamentu we współzawodnictwie z kandydatem centrum, więc proboszcz bytomski odmówił mu ślubu kościelnego. Obiecano mu udzielić tej „łaski“ pod tym jedynie warunkiem. że nowożeniec zobowiąże się piśmiennie: 1) ulegać nadal bezwzględnie władzy duchownej; 2) przeprosi publicznie kardynała Koppa i wszystkich księży, których *Górnoślązak* krytykował i 2) przysięgnie, iż nigdy przeciw nim występować nie będzie. P. K. warunku tego nie przyjął i chwilowo poprzestał na ślubie cywilnym, ale jako wierny syn Kościoła poczynił starania o naprawę „ciężkiej krzywdy.“ Zwrócił się więc naprzód do księży katolickich o pobłogosławienie jego związku, ci jednak ze względów formalnych uczynić tego nie mogli. Chór baranów dawnej swojskiej rasy, tych polityków, którzy o wszystkiem zapominają a niczego się nie uczą, tych niewolników, dla których żaden bat panów nie jest zbyt bolesny, żadna poniewierka zbyt upokarzająca, żadne kopnięcie zbyt silnem, którzy wbrew najoczywistszym dowodom i najwymowniejszym doświadczeniom podtrzymują ciągle w ludzie kłamliwą fikcyę troskliwej opieki „Ojca świętego“ — radzi mu zwrócić się ze skargą do nuncyusza papieskiego w Wiedniu, a wreszcie do Stolicy Apostolskiej. Nie mam nic przeciw tej apelacyi. Owszem, niech p. Korfanty odwoła się do tych instancyj i niech ogłosi ich odpowiedź na pożytek owczarni. Będzie to dla niej bardzo pouczająca lekcya. Zanim to wszakże nastąpi, wydaje mi się właściwym i potrzebnym inny protest, mianowicie przeciw żałosnemu bekowi gazet, które twierdzą, że „krzywda wyrządzona p. Korfantemu jest krzywdą *całego ludu polskiego.*“ Tak źle nie jest, chociażby dlatego, że — jak przyznają te same płaczki — „księża-centrowcy kopią gwałtem grób dla swej powagi.“ Trudno bowiem pojąć, ażeby taki grób, pochłaniający wpływ i władzę duchowieństwa germanizatorskiego, był „krzywdą“ dla ich nieszczęśliwych ofiar. Trochę logiki nie przeszkadza nawet w elegii politycznej. Więc *plandite cives* i zgódźcie się na to, że im gorzej, tem lepiej.

Go—on.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od d. 4 b. m. nadchodzą z Rzymu telegramy o chorobie papieża. Biuletyn podpisany przez dr. Lapponiego d. 6 b. m. nakazuje przewidywać skon. Telegramy wymieniają nazwiska kandydatów; są pomiędzy nimi Rampolla i Vanutelli.

Kardynał-podkomorzy (camerlengo) Oreglio, jako przyszły administrator Stolicy Apostolskiej podczas interregnum, zamieszkał w Watykanie. Msgr. Volpini, mianowany przez papieża sekretarzem kongregacyi konsystoryal-

---

13)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Damian udał się natychmiast „kozim łazem“ do miasteczka po łódź i ludzi. Oryle przesiedzieli noc u ogniska, nie śpiąc i nie jedząc, gdyż nie śmieli cum zaczepić o skały w obawie, żeby ich nie przetarło kołysanie. Karski żałował, że żony z dzieckiem nie przewiózł na ląd. Od czasu do czasu pani Anna ukazywała się z Olesiem na mostku sternika w połysku ognia, bijącego od stosu na skalne złomy, na spienione wody i utkwioną wśród nich szkutę. Ryk porogu nie pozwalał im rozmawiać. Dawała jedynie znaki, że się nie boi i prosiła, by nie troszczyli się o nią.

Przed świtem wiatr, zgodnie z przepowiednią Gurana, ucichł. Z za czarnej skały, w perłowym rozbrzasku rzeki, ukazała się łódź z ludźmi i strażnikiem. Linkę pólki przy ich pomocy zaniesiono bez trudu i szkuta wypłynęła szczęśliwie z porogów.

Na wysokim brzegu rozłożystej doliny zabielała nareszcie przed wędrowcami zasobna ludzka osada. Las dymów, różowych od zorzy, wił się nad nią, a w licznych oknach tu i owdzie skrzyły się już blade blaski dnia.

Gdyby nie cień Indora, który szedł za nimi, oryle kres swych wysiłków powitaliby napewno pieśnią. Obecnie szli w skupieniu, bezwiednie przyspieszając kroku. Karskiego nie było z nimi; nie był im już potrzebny; zbierał więc i pakował rzeczy.

— Nareszcie, nareszcie!.. — powtarzali małżonkowie z tem samem uczuciem, z jakiem mówili ten wyraz, wyruszając ze swojej sadyby, a następnie z Jakucka.

Ale i w Maczy parostatku nie zastali.

— Może będzie dziś, może jutro... a może wcale nie przyjdzie!. Wszystko zależy od stanu wody w górze rzeki...— objaśniano ich w pasażerskiej budce na przystani.

Nie było rady, musieli z kuframi i całym bagażem windować się na górę do osady, gdyż na brzegu nie mieli ich gdzie zostawić. Jakaś karykatura dorożki, zaprzężona w zabiedzonego, kulawego konia, powiozła ich do „hotelu.“

— Tani, ale dobry!.. Upewniam... — jak mi Bóg miły!—powtarzał dorożkarz z czerwonym nosem.

„Hotel“ okazał się przestronną chałupą sybirską, której połowa zwieszała się nad krawędzią urwiska i była z dołu podparta wrytymi w zbocza palami. Karski mimowoli przypomniał sobie owe bajeczne „potrzaski witymskie,“ o których opowiadano, że gość za pociśnięciem klapy wprost z pościeli staczał się do Leny. Przemógł jednak w sobie odrazę i wszedł do wnętrza. W obszernej izbie, służącej za korytarz i przedpokój, spali ludzie pod ścianami, na ławach. Na wezwanie wyszła z głębi kobiecina czarno ubrana, z żółtą, okrągłą twarzą i bielmem na oku...

— Pokój?.. Owszem... owszem... jest!..

Pokazała im pokoik znośny i powiedziała umiarkowaną cenę...

— Będzie państwu dobrze; mój dom cichy, spokojny... Stają sami znajomi... Państwo z dziećmi?.. Wiem, wiem, co to dziecko w drodze, sama mam córeczkę... Zaraz dostarczę świeżego mleba... Czy państwo na długo?..

— Do parostatku!..

— A!.. Rozumiem, ale on może i wcale nie przyjdzie!.. Tem lepiej... Chętnie państwa przez zimę przetrzymam... O zajęcie będzie panu łatwo, skoro pan piśmienny... Postaramy się!..

Dorożkarz bez pytania zniósł rzeczy do korytarza i zażądał za przewóz *rubla.*

— My tu wolni! Tu tajga!.. Tu bez sporów trzeba płacić, co mówią! Taksy niema! — dowodził stanowczo na uwagę Karskiego, że to za drogo za tak mały przejazd.

Karski westchnął i zapłacił. Pocieszał się, że potrwa to przecie niedługo. W ostatecznym razie gotów był spieniężyć część rzeczy i wyruszyć pocztą.

nej i następca Rampolli na urzędzie sekretarza stanu w razie konklawe, został rażony apopleksyą.

Banem Kroacyi mianowany Teodor Pejacsević. Urząd ministra przy osobie królewskiej po Szechenyim nieobsadzony.

Ostatecznie w sejmie niemieckim zasiądzie z dotychczasowych wyborów tylko 16 Polaków; ale ponieważ w okręgu chojnicko-tucholskim w Prusiech Zachodnich wskutek zrzeczenia się wyboru przez p. Czarlińskiego, wybranego również i w poznańskim, otworzyła się kandydatura, a wyborcy polscy są w większości, można przewidywać, że jako siedemnasty wejdzie jeszcze p. Kulerski, redaktor *Gazety Grudziądzkiej*. (Walne zebranie delegatów zachodnio-pruskich odrzuciło kandydaturę Kulerskiego a 15 głosami przeciw 6 postawiło kandydaturę Stanisława Sikorskiego, właściciela ziemskiego. *Red.*).

Loubet w poniedziałek wyjechał do Londynu, w towarzystwie Delcasségo. Zabawiono do czwartku rano. Domyślają się układu o Marokko, o granice sporne w Afryce, o Hebrydy i o rybołówstwo przy Terre Neuve. Domysł wlecze się jak cień za Delcassém.

Obie Izby d. 4 b. m. odroczono.

Wzrost liczebny socyalistów w parlamencie niemieckim przemówił nawet do cesarza Wilhelma, który zaczyna stronnictwo to uważać za dość poważne, aby się rząd z niem liczyć musiał. Niewątpliwie jedno z vice-prezesostw w sejmie dostanie się socyaliście. Liberalni, jak Muller, przemawiają za związkiem wzajemnego poręczenia i zachęcają do zawarcia go z socyalistami. Osiemdziesięciu z górą posłów socyalistycznych w Reichsparlamencie — jest wypadkiem nie w samych tylko Niemczech; świat cały odczuwa jego doniosłość.

Hr. Stanisław Badeni został powtórnie marszałkiem sejmu galicyjskiego i naczelnikiem Wydziału krajowego. Obowiązki swe objął d. 3 b. m.

Biuro Reutera donosi z Tientsinu: „Uderza tu wszystkich zebranie się wielu okrętów angielskich, amerykańskich i japońskich w północnej części zatoki Pe-Czyli. Podobno 57 okrętów wojennych rosyjskich stoi w Porcie Arthura. Oficerów rezerwowych japońskich miano z urlopów w Chinach północnych odwołać do służby.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Zjazd delegatów uniwersytetu ludowego. — Bronisław Urbanowicz. Wycieczki włościańskie. — Jak żyje 10,500 mieszkańców Lwowa, — Fakty i wnioski ankiety. — Żądania stróżów.

Niepostrzeżenie prawie minął tegoroczny walny zjazd delegatów „Uniwersytetu ludowego imienia A. Mickiewicza.“ Zjechało się ich niezbyt wielu; przeważna część oddziałów prowincyonalnych — pomiędzy tymi niektóre bardzo czynne — nie była tu wcale reprezentowana. Zjazd uchwalił w zasadzie przeniesienie siedziby centralnej towarzystwa ze Lwowa do Krakowa, gdzie się obecnie buduje dom własny „Uniwersytetu ludowego,“ i gdzie z powodu dopływu energicznych sił młodych działalność towarzystwa rozwija się bardzo pomyślnie.

Kiedy w wielkiej sali redutowej starego teatru krakowskiego dość szczupłe grono delegatów naradzało się nad dalszym losem tej tak pożytecznej instytucyi, w szpitalu dla chorych umysłowo dogorywał jeden z najdzielniejszych kierowników „Uniwersytetu ludowego“ — inżynier Bronisław Urbanowicz. Śmierć nastąpiła w parę dni po zjeździe. Krakowowi ubyła jedna z najsympatyczniejszych postaci, a szczupły zastęp szczerych pracowników na niwie kulturalnej stracił jednego z najlepszych druhów.

Bronisław Urbanowicz pochodził ze szlachty zaściankowej powiatu Lidzkiego, szkołę realną ukończył w Wilnie, poczem był studentem instytutu technologicznego w Petersburgu i politechniki zurychskiej. Ukończywszy chlubnie politechnikę w Zurychu, Urbanowicz przeniósł się do Krakowa na posadę inżeniera dyrekcyi kolei państwowych. Praca biurowa nie pochłonęła jego umysłu całkowicie. Wszystkie chwile wolne poświęcał ukochanej sprawie oświaty ludowej. Był jednym z założycieli krakowskiego oddziału Uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza i wkrótce stał się jednym z najpopularniejszych prelegentów tej instytucyi. Wygłaszając odczyty we wszystkich miastach Galicyi, tak wschodniej, jak i zachodniej, oraz Śląska polskiego, Urbanowicz popularyzował przedewszystkiem wiedzę przyrodniczą, dawał wykłady i w dziedzinie ekonomii politycznej, socyologii i historyi cywilizacyi, a wszystko w formie tak przystępnej i zajmującej, że na te prelekcye gromadziły się tysiące osób, odnosząc z nich rzetelną korzyść. Jako skarbnik oddziału krakowskiego okazał się wprost nieocenioną siłą administracyjną, wskutek czego na zjeździe krakowskim w maju 1901 r. został wybrany na prezesa zarządu głównego całej instytucyi.

Oddając się z zamiłowaniem pracom czysto kulturalnym, Urbanowicz nie zaniedbywał i niwy politycznej. Przy wyborach do parlamentu i sejmu brał czynny udział w agitacyi za kandydatami partyi robotniczej, przemawiając na licznych zgromadzeniach publicznych. Jakkolwiek był urzędnikiem kolei państwowych, miał jednak zawsze odwagę występowania z otwartem wyznaniem zasad opozycyonisty, to mu zdobyło mir i szacunek nawet wśród zaciętych przeciwników politycznych. W roku 1902 został wybrany do zarządu miejskiej Kasy chorych w Krakowie, a w r. 1903 uzyskał bardzo poważną liczbę głosów przy wyborach do rady miejskiej z koła inteligencyi, jako kandydat skrajnej lewicy.

Niestety, nadzwyczaj intensywna praca podkopała siły nadszarpnięte już biedą chudego żywota studenckiego w Zurychu. Urlop i kuracya nic już nie pomogły. Choroba rozwijała się zastraszająco szybko. Pobyt w sanatoryum nic nie pomógł, przeniesiono więc Urbanowicza do oddziału chorych umysłowo w szpitalu św. Łazarza, gdzie zmarł 30 czerwca — w 35 roku życia, osierocając tyle działów robót kulturalno-społecznych, do których mało staje ludzi powołanych.

Za to niepowołanych działaczy na polu *sui generis* „oświaty ludowej“ jest w Galicyi aż nadto. Oto np. w ostatnich czasach (po strajkach rolnych w Galicyi wschod-

---

Tymczasem po herbacie żona posłała go na miasto załatwić sprawunki, dowiedzieć się coś stanowczego o parostatku i kupić sobie rewolwer.

— A obejrzyj też na wszelki wypadek inne „hotele,“ może znajdziesz gdzie przyzwoitszy.

Miasteczko spało. Sklepy były pozamykane. Zaczął więc Karski od poszukiwania „hotelu.“ Lecz przeszedł spory kawał błotnistej ulicy, zanim spostrzegł napisane wielkiemi literami na ścianie: „Numera.“ Po schodkach przez wązkie wejście dostał się do niemniej wązkiego korytarzyka. Po obu stronach ciągnął się szereg zamkniętych drzwi, po za któremi słychać było śmiech i przyciszoną rozmowę. Długo chrząkał i tupał napróżno, zanim w końcu korytarzyka ukazał się rudy, brodaty żyd, w pantoflach, kratkowanych pantalonach i odpowiedniej marynarce.

— Co trzeba?

— Numer!

Żyd pchnął w milczeniu jedne drzwi i grzecznie pod łokieć wsunął w nie Karskiego. Ten nie mógł się cofnąć natychmiast, a tymczasem w pokoju pośrodku stała w grubym negliżu kobieta...

— Przepraszam!.. — bąknął.

— Owszem, owszem!.. Nic nie szkodzi!..

Lecz Karski pchał żyda nazad energicznie, aż znalazł się w korytarzu, gdzie gospodarz otworzył drzwi następne. I w tym okoju była kobieta, ale jeszcze spała. nowu więc cofnął się Karski... Żyd otworzył trzecie drzwi. Po za niemi Karski znalazł... dwoje.

— Ale ja panu zaraz oswobodzę lokal!— mówił wesoło mężczyzna.

— Który więc numer? — pytał, śmiejąc się żyd.

— Wcale nie chcę!..—wykrztusił Karski.

— Nacóż pan przychodził? Co to jest?!..

Karski już był na progu.

— Niech się pan wróci!.. Są jeszcze inne... Może która odpowiednia... — śmiał się za nim i żyd, i mężczyzna, i wszystkie kobiety, które napół nagie i rozespane na korytarz wyległy.

W drugim „hotelu“ znalazł znowu samych mężczyzn. Dał więc poszukiwaniom pokój.

— Przebiedujemy jakoś!.. Niedługo, może dzień, najwyżej dwa — rozmyślał, idąc na przystań, gdzie ruch był większy, niż w miasteczku.

Z błękitnego ujścia rzeki, wpadającej do Leny naprzeciw osady, płynęły ku niej jakieś statki żaglowe i wiosłowe, ciągnąc za sobą bruzdy roziskrzonej w blasku słońca fali. Zielony szmat lasu, otoczony amfiteatrem sinych gór, zamykał widnokrąg.

— Wszystko to bardzo ładne, ale... parostatek!.. — rozmyślał Karski, zbiegając z pochyłości.

Na przystani znów jakiś jegomość powtórzył mu stanowczo, że parostatku nie będzie.

— A tu napisane, że miał być przed tygodniem! Więc był już? — pytał Karski, wskazując na przybity na ścianie rozkład.

— Nie był! Więc co? Cóż to mię pan tak indaguje?., Czy to ja pisałem rozkład?.. Nie był i nie będzie!.. Powtarzam panu raz jeszcze. Niech pan to sobie, gdzie chce, zapisze!..

Odwrócił się i odszedł, gwiżdżąc wyzywająco.

Inni jeszcze mniej mu mogli powiedzieć.

— Panie, czy to na parostatki można liczyć... Są, albo ich niema!.. Przychodzą, albo i nie przychodzą!.. Żadnej nawigacyi tu u nas niema. Wszystko gazeciarska blaga!.. Niech pan zwróci się do orylów... starodawnym obyczajem!. Powolutku, ale pewno...

— O, nie! Mam ich dosyć!..

— Więc pocztą!

Wracając do miasteczka, Karski rozważał, że aby sprzedać rzeczy, będzie się musiał pewnie zatrzymać dni kilka, nawet może dłużej... Nie miał nic takiego, coby posiadało stałą, sprzedażną wartość, trochę bielizny, trochę książek, stare, jedwabne suknie żony, jego palto zimowy... na wszystko to musiałby szukać amatora. Kupił więc w sklepie więcej, niż mu żona kazała, oraz wybrał sobie rewolwer. Ale gdy chciał naboje założyć, subjekt, pilnie uważający na jego ruchy, zabrał pospiesznie pudełko z kulami.

— Niech pan włoży rewolwer do kieszeni, wtedy pan dostanie naboje!— rzekł stanowczo.

niej i *wskutek* tych strajków) ogromnie się rozpowszechniły wycieczki włościańskie do Krakowa. Co kilka dni do stolicy podwawelskiej przybywają dziesiątki a nawet setki włościan, przeważnie z Galicyi wschodniej, pod kierownictwem i przewodnictwem obszarników i księży. Takie wycieczki, przedsiebrane planowo, w celu obznajmienia włościaństwa z pamiątkami, nagromadzonemi po muzeach i kościołach, w zasadzie zasługują na gorącą sympatyę. Ale pożytek z nich obecnie jest minimalny, gdyż ci włościanie dostają się w Krakowie najczęściej w ręce klerykałów, dla których kulturalna strona wycieczki jest najzupełniej obojętną. Włościanie słyszą w Krakowie prawie wyłącznie toż samo, co mogliby usłyszeć w swym kościołku wiejskim od miejscowego plebana. Wycieczkę prowadzi ksiądz, w Krakowie wita ją znowu ksiądz, lokują się najczęściej wycieczkowicze w klasztorze, a znaczną część czasu zabierają im różne modlitwy urzędowe, msze, oglądanie relikwij itd. Wrażenia jakie chłopi odnoszą, oglądając pomniki historyczne, zacierają się zupełnie przez zwiedzenie Kalwaryi, gdzie już księża operują *ad majorem ecclesiae gloriam* bez żadnych pozorów narodowych. Tam prawią się kazania o tendencyi antispołecznej, tam chłopi otrzymują broszurki klerykalne treści wręcz niemoralnej, tam oglądają obrazy, przedstawiające mord rytualny i powracają do domu z chaosem w głowie.

A traktowanie tych chłopów wycieczkowiczów jest niekiedy wprost oburzające. Ani o dogodne umieszczenie ich, ani o zaopatrzenie w strawę nie dba się tak, jakby należało. W teatrze podczas specyalnie dla nich przeznaczonego przedstawienia, aktor wobec otwartej widowni pozwala sobie głośno mówić: „Gadajcie prędzy bo szkoda czasu!“ Raz nawet doszło już do tego, że chłopi-wycieczkowicze, potraktowani brutalnie, poczęli tłumnie opuszczać teatr, dając głośno wyraz swemu oburzeniu.

We Lwowie świeżo wyszła książka — jedno z tych dziełek, które starczą za czyn społeczny. Jest to praca p. S. Wityka p. t. „Jak żyje 10,500 mieszkańców Lwowa.“ Geneza tej książki jest następująca.

Niezwykły stopień chorobliwości we Lwowie skłonił dr. Szpilmana do postawienia w radzie miejskiej wniosku, ażeby specyalna komisya zbadała jak najrychlej stosunki zdrowotne stolicy kraju. Wniosek radcy Szpilmana, jak to zwykle bywa, przebrzmiał bez żadnego echa. Nie pomyślano nawet o wyborze proponowanej przez niego komisyi. Ojców miasta wyręczyła do pewnego stopnia inicyatywa prywatna. Oto, miejscowy komitet stronnictwa robotniczego podjął się zbadania położenia i sposobu życia stróżów lwowskich. Nowego badania dokonali członkowie stowarzyszenia robotników dziennych, rębaczy i stróżów, *Praca* oraz młodzież akademicka — oczywiście nie narodowo-demokratyczna.

Wśród najostrzejszej zimy wędrowano od kamienicy do kamienicy w poszukiwaniu przyczyn chorobliwości Lwowa. Robiono zapiski, notowano każdy szczegół. Praca ta trwała kilka miesięcy. Członkowie ankiety nie zrażali się żadnemi przeszkodami i zdołali zgromadzić olbrzymi i nader wymowny materyał. Na podstawie tego materyału można powiedzieć stanowczo, że jednym z głównych powodów chorobliwości Lwowa jest niesłychanie zaniedbane położenie dozorców domów, a mieszkania stróżów są bodaj czy nie głównem siedliskiem chorób zakaźnych. Cały ten materyał, zebrany przez ankietę, opracował właśnie p. Wityk.

Warto się przyjrzeć bliżej jego wywodom.

Zacznijmy od płacy. Dozorców domów we Lwowie jest 2,500, razem z rodzinami stanowią oni 10,500 ludzi, czyli szesnastą część Lwowa. Członkowie ankiety zbadali stan życia 1,553 dozorców. Przeciętna ich płaca miesięczna wynosi 6 złr. 7 cent. Cyfra ta przedstawi się jeszcze jaskrawiej, jeśli wykazać, jaką płacę pobierają dozorcy poszczególni. Najwyższą sumę 70 koron pobiera zaledwie jeden dozorca, od 52 do 65 tylko 8; 21 otrzymuje po 50 k., 41 po 40, 52 po 30, 65 po 24, 100 po 20, 65 po 16, 125 po 10, 178 po 6, 197 po 4, 42 po 2 kor,; 1,101 dozorców otrzymuje mniej niż 25 koron miesięcznie! Po za tem jest jeszcze 365 dozorców, niepobierających żadnej zgoła zapłaty za stróżowanie, a 35 nietylko nie pobiera żadnej płacy, lecz jeszcze dopłaca do pomieszkania przeciętnie po 7 koron. Kilkudziesięciu z tych dozorców musi ze swej pracy kupować jeszcze miotły, ścierki, piasek do posypywania ulic i naftę do oświetlania korytarzy. Jeśli uwzględnimy inne dochody dozorców (za otwieranie bramy, za sprzątanie u lokatorów, za dochód z klucza itd.), to na jednego dozorcę przypada przeciętnie 8 złr. 20 centów, czyli na jedną osobę w rodzinie aż 6 centów. Ponieważ za to pracuje nietylko sam stróż, ale zwykle jeszcze jego żona, a gdzieniegdzie nawet dzieci, przeto niema mowy o zarobkowaniu rodziny na stronie. Jasną więc rzeczą jest, że przy panującej drożyznie żaden ze stróżów nie ma dostatecznych środków do życia i musi przymierać głodem.

Członkowie ankiety sprawdzili, że liczba tych dozorców, którym nie wolno uciekać się do żadnych zajęć ubocznych, wynosi 1,096, a więc większość. Takich, którym wolno chodzić na inny zarobek i za których dozoruje kamienicy ich rodzina, jest 492. Zarobek uboczny posiadają oni zwykle tylko w lecie. Uwzględniając zarobki uboczne, otrzymujemy przeciętny dochód rodziny w wysokości 13 złr. 10 cent. Nie zapominajmy jednak, że u 1,096 rodzin ta przeciętna równa się 8 złr. 20 cent.

Przeciętna płaca dozorcy nie pozostaje w żadnym prostym stosunku do jego pracy przy kamienicy. Roboty jest tak dużo, że nietylko dozorca we dnie i w nocy, ale nawet jego żona i dzieci stale są zajęte. Broszura p. Wityka podaje setki przykładów na udowodnienie tego. Ciekawe np., że w 454 wypadkach żony stróżów piorą bieliznę właściciela domu zupełnie bezpłatnie, a tylko w 27 wypadkach stróżowe pobierają pewne wynagrodzenie.

Dla miernego odżywiania się jednego człowieka we Lwowie potrzeba conajmniej 40 halerzy. Tymczasem na jedną osobę w rodzinie dozorcy nawet w najwyższej kategoryi zarobków (po uwzględnieniu wszystkich dochodów dodatkowych) przypada przeciętnie 20 halerzy dziennie, a więc zaledwie połowa. A przecież człowiek po za tem musi się jeszcze ubrać, potrzebuje opału, światła itd.

A teraz przyjrzyjmy się hygienie mieszkań tych nędzarzy.

Otóż warunki życia dozorców domu pod względem zdrowotnym przedstawiają się

— Dlaczego?

— Był tu taki. Subjekta zabił, drugiego zranił... za rewolwer nie zapłacił... W dodatku kasę zrabował!..

— Przepraszam, nie miałem zamiaru...

— To nic! Nic nie szkodzi!.. My się nie gniewamy, ale nie dajemy!.. Zabroniono raz na zawsze!..

Trochę stropiony wracał Karski pospiesznie, zapadając się od czasu do czasu w błotnistych wybojach zręcznie zakrytych rozsuwającemi się łatwo deskami.

W cichym „hotelu“ już się roiło. W przedpokoju pełno było znanych Karskiemu jeszcze z jakuckiej przystani postaci, wydało mu się nawet, że wśród nich mignęła posępna twarz Majdaniarza. Jakiś barczysty, podpasany krajką jegomość w futrzanej czapce na głowie, oglądał postawione tymczasem w korytarzu kufry Karskiego z miną współwłaściciela.

— To wasze rzeczy? — spytał, gdy Karski mimo przechodził.

— Moje... Albo co?

— Dobre... okucie!.. — przecedził jegomość i splunął cienko przez zęby.

Za ścianą ktoś jęczał boleśnie.

Żonę znalazł Karski w strasznem wzburzeniu. Siedziała na krześle za barykadą z stołu i materaca, z zamkniętemi oczami i rękami opuszczonemi rozpaczliwie wzdłuż ciała...

— Znowu?.. Co ci jest? Co się stało?..

— Masz aby rewolwer? masz rewolwer?— spytała porywczo, otwierając oczy.

— Ależ mam! Uspokój się!..

— Wciąż mi powtarzasz to samo, a nie wiesz, gdzieśmy trafili — to wertep... Lękam się, że stąd już nie wyjdziemy... Mąż gospodyni siedzi przez omyłkę w więzieniu... Ten chory, co jęczy, to postrzelony spirtonos... Sama gospodyni mi to opowiedziała, uprzedzając „oszczerstwa.“ A tu — słyszysz?.. — wskazała na sąsiedni, oddzielony przepierzeniem pokój.

Istotnie, tam po niejakim czasie rozległo się charakterystyczne trzaskanie obracanego bębna rewolweru. Ktoś widocznie się bawił w ten miły i niewinny sposób...

— Oleś, Oleś! Chodź tu! — wołała pani Anna na dziecko, które korzystając z nieuwagi matki, wychyliło się z za bezpiecznej barykady.

— Dobrze, żeś przyszedł. Gdybym jeszcze chwilkę znosić to musiała, czułam, że zaczęłabym szczekać, wyć, kąsać... Z tymi ludźmi inaczej nie można!.. Uchodźmy, uchodźmy, rzućmy im wszystko: rzeczy, kufry, pieniądze...

Karski nabijał rewolwer. Sąsiad, usłyszawszy jego trzaskanie, zaprzestał zabawki, a gdy wyszli na korytarz, wyjrzał ciekawie przez uchylone drzwi. Przeszli mimo zdziwionych ich nasrożonemi twarzami ludzi i, rzuciwszy okiem na rzeczy, wyszli na ulicę.

— Na przystań!.. Tam zanocujemy w tej budce... Uproszę, ubłagam — mówiła pani Anna... Zawsze tam bliżej czegoś, co nasze.

Los jednak gotował im inną niespodziankę. Gdy stanęli na zrębie urwiska, skąd ulica spuszczała się na ukos ku rzece, spostrzegli nagle na błękitnej wodzie statek płynący ku przystani z kitą siwego dymu, wijącą się nad nim.

Karski corychlej odprowadził żonę z dzieckiem na wybrzeże, poczem najął furmankę i wywiózł ostentacyjnie rzeczy z „wertepu,“ zapłaciwszy gospodyni w czarnem ubraniu dość słony rachunek.

W kilka godzin potem siedzieli w małej kajucie, wybitej ceratą, i pili wesoło herbatę. Na twarzy pani Anny zakwitła znowu dawna słodycz, z oczów Stefana znikł dziki niepokój. Oleś pełzał swobodnie po wszystkich kątach.

Wieczorem, gdy statek, bijąc potężnie kołami i sypiąc skry w miarowym oddechu, biegł wśród mierzchnącej rzeki, Karski, pochylony nad maszynowym lukiem, patrzał z zachwytem, z tkliwością nieledwie na stalowe koła, korby i tłoki błyskające w elektrycznem świetle i dumał o dziwnym tworze ludzkim, o zaklętym w metal zbiorowym duchu i zbiorowych wysiłkach, który duszom swych twórców pozwalał się układać w innym, wyższym i lepszym porządku...

KONIEC.

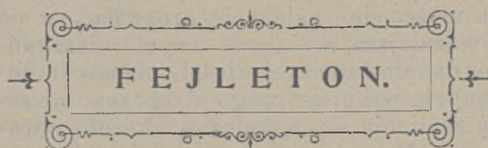
daleko gorzej jeszcze, aniżeli płace. Na jedno mieszkanie stróża przypada 35,75 metra sześciennego przestrzeni, a ponieważ według obliczeń ankiety żyje tam 4,2 osób, przeto na jedną przypada 8,46 m. sześć. wolnej przestrzeni. Z tego wynika, że osoby, mieszkające u dozorców domu, mają dwa razy mniejszą ilość potrzebnego do oddychania powietrza, aniżeli więźniowie w kryminale. Ponieważ według obliczenia potrzeba 67,20 m. sześć., ażeby przeciętnie jedna rodzina dozorcy miała najmniejszą wymaganą, wolną przestrzeń powietrza, przeto we Lwowie znajdziemy zaledwie 80 mieszkań stróżów, w których jest taki wolny przewiew, jaki obowiązuje w aresztach; 228 mieszkań jest takich, że jeden człowiek nie może mieszkać w nich normalnie, a tymczasem gnieździ się tam po kilka osób. Na 1,558 mieszkań dozorców jest całkiem suchych i jasnych zaledwie 153. Suchych, ale zupełnie ciemnych — 82. Inne są zupełnie wilgotne. Wilgotnych lecz jasnych mieszkań jest 159; wilgotnych i zupełnie ciemnych — 587. Mieszkań, położonych obok wychodków i z tego powodu mokrych i cuchnących trującymi wyziewami, tak że ściany w niektórych są pożółkłe z nieczystości, a na domiar zupełnie ciemnych, jest 478. Takich mieszkań, przez które przeprowadzone są rury wodociągowe, będące powodem niesłychanej wilgoci, jest 70. Nareszcie mieszkań piwnicznych, pod któremi przepływa kanał, wydzielający straszliwe wyziewy, jest 18. I czyż te mieszkania mogą być czemś innem, niż zarodnikami chorób zakaźnych?

Po ogólnych uwagach o większości mieszkań stróżów idą opisy poszczególnych, przyczem specyalny rozdział obejmuje opis mieszkań stróżów w domach, należących do książąt, hrabiów, radców sądowych, adwokatów, lekarzy itp. Oto np. dozorca domu prezydenta m. Lwowa, p. Małachowskiego, zamieszkuje z rodziną stancyę 2,7 m. długą, 3,3 m. szeroką, 2,7 m. wysoką. Za porządki przy kamienicy nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia — tak samo nie ma żadnego dochodu z bramy. Na zapytanie, z czego ci ludzie właściwie żyją, dozorczyni skarży się: „Nie żyjemy, lecz głodujemy, ja na oczy nie widzę, czekamy śmierci, jeśli niezadługo przyjdzie, zakończą się nasze cierpienia.“ W domu osławionego członka Koła polskiego, Dawida Abrahamowicza, stróż mieszka z żoną w piwnicy ciemnej i wilgotnej, przylegającej do wychodków. To samo jest w domu hr. Pinińskiego. U hr. Dzieduszyckiego, ks. Lubomirskiego i innych nie lepiej. Przez 73 strony książki ciągnie się opis poszczególnych mieszkań stróżów z wymienieniem numeru domu, ulicy, nazwisk właściciela i stróża wraz z dokładnem podaniem wszelkich warunków życia i zarobkowania tego ostatniego.

Praca p.Wityka wywołała ogromne wrażenie. Dzięki tej broszurze szeroki ogół społeczeństwa dowiedział się o niebezpieczeństwie, grożącem mu w każdej chwili z tych nor i jaskiń cuchnących. Zapewne to społeczeństwo poprze domagania się samych stróżów, którzy stawiają obecnie następujące warunki: 1) Magistrat miasta zechce wydelegować komisyę, która wspólnie z inspektorem przemysłowym i wybranym delegatem z pośród wyborców zbada mieszkania stróżów. 2) Mieszkania piwniczne i suterynowe winny być bezwarunkowo usunięte. Dozorca kamieniczny winien dostać mieszkanie na parterze, tuż przy bramie, przestrone i widne, jasne, z dzwonkiem dobrze funkcyonującym. 3) Do dozorcy należy tylko utrzymanie porządku w kamienicy, a wszelkie przybory potrzebne do pracy sprawia gospodarz. 4) Dozorca nie może być użyty do posług prywatnych; także jego żona jako praczka albo sługa u właściciela domu używaną być nie może. Za te usługi należy się dozorcy osobne wynagrodzenie według umowy... 11) Płaca dozorcy domu ma wynosić miesięcznie 60 koron. 12) Dozorcy domów żądają, by wypowiedzenie pracy było i dla nich 14-dniowe (bo dotychczas właściciel mógł wyrzucić stróża na bruk w każdej chwili). 13) Ingerencya sądów przemysłowych winna być rozciągnięta i na dozorców domów. 14) Dozorcy mają być ubezpieczeni w kasach chorych na wypadek choroby, niezdolności do pracy i starości. 15) Dla usunięcia nadużyć i pokątnych agentów dozorcy żądają założenia swojego biura pracy, któreby jedynie im dostarczało zajęcia.

W duchu tych żądań występują obecnie stróże na zgromadzeniach publicznych we Lwowie.

Daleki.



SZKIELET.

—•—

Zawsze lubiłem przypatrywać się szkieletom i to ludzkim. Jak zwać tę „ciekawość,“ nie wiem; ciekawością „naukową“? to zbyt szumnie; nauka jest tak potężna, tak rozległa, że rozpacz ogarnia człowieka, który jej całego życia poświęcić nie może, iż wciąż tylko jej okrawki są dla niego dostępne. Więc ciekawość „metafizyczna“? Tak, byłby to frazes, na dziś nawet dość popularny, bo niezrozumiały. Można stać się sławnym przez wygłoszenie jaskrawego a mało zrozumiałego frazesu. Moja ciekawość nie opierała się jednak bynajmniej na frazesie. Szkielet wywierał na mnie wielkie wrażenie, a ja chciałem wiedzieć, dlaczego je wywiera. Ale przedewszystkiem — wrażenie. Szkielet wywiera wrażenie i na zwierzęciu; ale zwierzę poprostu boi się szkieletu. Moje wrażenie nie miało nic wspólnego z bojaźnią. Nigdy nie bałem się szkieletu, przeciwnie, lubiłem szkielety, kochałem je i chętnie przebywałem w ich towarzystwie. Szkielety mówiły mi zawsze coś, czego tylko nie mogłem zrozumieć. Dlaczego ja ich nie mogę zrozumieć? — pytałem sam siebie. Na to pytanie chyba nauka odpowiedzi mi nie da; może daliby artyści, analizujący swoje wrażenia; ale artyści lubią o swoich wrażeniach opowiadać rzeczy nadzwyczajne; przytem wyrażają się obrazowo, więc nigdy nie można wiedzieć, kiedy mówią prawdę, a kiedy „tworzą.“ Wagner opowiada, że kwinta i kwarta przyszły do jego łóżka i wyjawiły mu swoje tajemnice. Wagner całkiem nie skłamał, ale prawdy nie powiedział; wyraził się obrazowo. Poeci opowiadają nadzwyczajne rzeczy o swych natchnieniach. Gniewają się okrutnie, gdy ktoś poddaje analizie fantazyę twórczą. Czy nie przychodzi im na myśl, że są w tym wypadku podobni do fabrykanta, który wynalazek opatentował i boi się, aby jaki specyalista go nie podpatrzył? Poeci i artyści są przeważnie zwolennikami mniemań, że w chwili twórczej wstępuje w nich jakaś siła wyższa, której działaniu poddają się, że tworzą to jakiś bezwiedny wylew natchnienia; o natchnieniu krążą wogóle pomiędzy publicznością najdziwaczniejsze pojęcia. W jedno tylko ludzie żadną miarą uwierzyć nie chcą, że natchnienie jest nieznanym nam bliżej stanem szczególnego podniecenia, w którym władamy naszą umysłowością, albo pewnemi jej dziedzinami, z wyjątkową łatwością i precyzyą. Natchniony poeta myśli bardzo szybko, słowa nasuwają mu się całymi tuzinami, umie w lot oceniać ich wartość i wybrać błyskawicznie najodpowiedniejsze; czuje nadzwyczajnie, rozumuje niezwykle, jednem słowem włada sobą: może w tej chwili stworzyć to, czego nie stworzyłby później już nigdy. Poeta wie doskonale, co służy częstszemu pojawianiu się takich stanów, a co szkodzi; bywa nieraz bardzo zabobonny z tego powodu: hodując swoją imaginacyę, bardzo często poświęca hodowlę swego rozumu. Goethe zawsze będzie należał do wyjątków. Ale też Goethe analizował siebie i swoje wrażenia; Goethe nie był zupełnie zabobonnym; nie lękał się prawdy, wiedział, że ona nie może zaszkodzić jego imaginacyi.

Kto jest poetą? Kto jest artystą? Czy tylko ten, kto tworzy? Na to pytanie dawno już odpowiedziano i możnaby dziś z całą śmiałością twierdzić: nie że wszyscy ludzie są potrochu poetami, ale że jest bardzo mało ludzi, którzy poetami nie są. Każdy sen jest poematem, jest baśnią, grubą czy wytworną, to inna rzecz, ale jest baśnią. Każdy człowiek umie stworzyć baśń, opowiadając jako tako swój sen. Nie posiada tylko talentu tworzenia takich baśni na jawie. Nie ma umiłowania w tym kierunku. Sen tworzy się w jego głowie sam; baśń trzeba stworzyć na jawie. Sen jest przeważnie baśnią bez sensu; baśń poetyczna musi mieć jakiś sens. Każdy człowiek powinien analizować swoje wrażenia. Tylko to może go uchronić od przesądów i zabobonów. Każdy człowiek musi wiedzieć, jak reaguje jego imaginacya na różne zjawiska. Tę pracę winien człowiek gorliwie podejmować przez całe życie. To właśnie znaczy: znać siebie. Znam siebie, skoro umiem powiedzieć, dlaczego to lub owo działa na mnie w ten sposób a nie inaczej. Poznanie siebie nie psuje mi bynajmniej wrażeń. Wyostrza się tylko wrodzony dar obserwacyi. Uczę się patrzeć, słuchać, czuć, myśleć. Większość uczuć ludzkich to zwyczajny — plagiat. Czuj jak ja — woła Hayden, i ludzie idą za Heydnem, nienawidząc pobudek Beethoven. Czuj jak ja — woła Beethoven — i ludzie, uprzykrzywszy sobie Heydna, idą za Beethovenem, nienawidząc uczuć, jakie daje Wagner. I tak dalej, bez końca. Ludzie są przeważnie spożywcami wrażeń i uczuć, jeżeli mam się już tak specyalnie wyrazić, a tymczasem o to właśnie chodzi, aby każdy człowiek odbierał wrażenia oryginalne i aby czuł oryginalnie. Wtedy dopiero podniesie się typ człowieka ucywilizowanego, wtedy dopiero będziemy mieli ludzi prawdziwie oryginalnych. Staraniem każdego człowieka powinno być: istnieć — w jednym egzemplarzu.

Z różnych „powiedzeń“ o śmierci i o szkielecie człowieka możnaby prawdopodobnie złożyć całą bibliotekę. Tam, gdzie wszyscy czerpią ze wspólnego źródła, nie można mieć nigdy pewności, czy to lub owo „powiedzenie“ nie zostało już „powiedziane.“ Ale podobne skrupuły nie powinny nas odstraszać. Pytam: jak ja widzę? jak ja słyszę? jak ja czuję? A niech później uczony ze wspólności znalezionych wyciąga swoje uogólnienia. Byle człowiek patrzył istotnie własnem okiem i myślał własnemi myślami, słuchał własnem uchem i czuł własnem sercem, a jest niemal pewnik, że choćby nawet nie wygłosił czegoś nowego, to doda do rzeczy znanej jakiś szczegół nieznany, ważny, uczciwie zaobserwowany.

Tak rozumowałem, dzierżąc niby Hamlet czaszkę w dłoni, choć ani szczypty Hamleta nie czuję w sobie, a i w poglądach na tego bohatera szekspirowskiego pospierałbym się z niejednym krytykiem. Dlaczego ta czaszka wywiera na mnie wrażenie wielkie? Dlaczego nie wywierałaby takiego wrażenia, gdyby była przyobleczona w pierwotną powłokę swoją? Czy myślę o wieczności? Czy opada mnie ów

ból wszechznikomości? Nie. Śmierć nie przeraża mnie, ona niekiedy przeraża mój instynkt zachowawczy; ale rzadko kiedy udaje mu się zapanować nade mną i to tylko na przelotną chwilę, gdy mi się, że tak powiem, wyśliznie z rąk; ale zazwyczaj ja panuję nad nim, nie on nade mną. Może się łudzę? Mniejsza o to. Sądzę, że się nie łudzę. Więc, gdy patrzę na szkielet, nie chodzi mi o ową zagadkę Fausta lub Hamleta. Nie pytam, co to jest życie, co to jest śmierć; pytam tylko: dlaczego czaszka wywiera na mnie wrażenie tak potężne? A może ona należała do przeciętniaka umysłowego? A ja go biorę za filozofa? Może należała do bezwraźliwca, a ja go biorę za melancholika? Może należała do jowialnego i dobrotliwego filistra, a ja go biorę za niesłychanego szydercę? Dlaczego?

Twarz każdego człowieka posiada pewien wyraz jednolity, a przynajmniej wyraz w przybliżeniu jednolity. Czaszka wywiera na nas wrażenie, jakby tej jednolitości wcale nie było, jakby były trzy jednolitości. Dlaczego?

Przypatrzcie się jej, ale przypatrzcie się uważnie. Czoło odarte z włosów, a więc uderza nas; zwykle takie nagie czoło w życiu miewa mędrzec, filozof, myśliciel. Tak, czoło czaszki trupiej wywiera na nas wrażenie czoła myśliciela i to myśliciela, który już wszystko przemyślał. Tak, z czoła tego bije mądrość. I to wrażenie jest ogromnie jednolite.

Patrzcie teraz na oczy. Niema ich, są tylko oczodoły; patrzcie nieco zdaleka; cienie padają, zdaje się, że oczy są, ale tylko niesłychanie głęboko zapadły. Takie głęboko zapadłe oczy oznaczają u żywego człowieka bezbrzeżny smutek. Przeto puste oczodoły szkieletu wywierają na nas wrażenie bezbrzeżnego smutku, melancholii, rezygnacyi. Przedewszystkiem smutku — tak, smutku niesłychanego — i to wrażenie jest znowu ogromnie jednolite.

A teraz patrzcie na usta. Nie, ust niema, są tylko zęby, przeraźliwie wyszczerzone zęby. U żywego człowieka oznacza to uśmiech, szyderstwo. Więc te zęby wyszczerzone wywierają na nas wrażenie bezgranicznego szyderstwa, ironii. I to wrażenie jest znowu ogromnie jednolite.

Tak. Czoło wyraża mądrość, oczy— smutek, a usta — ironię. Dlatego czaszka trupia wywiera na nas wrażenie tak potężne, dlatego tyle o niej możemy różnych rzeczy powiedzieć i powiedzieliśmy, że dałoby się z tego złożyć całą bibliotekę.

A teraz kościec. Ach, z pojęciem śmierci skojarzyło się pojęcie szczególnego majestatu. Poważniejemy, ujrzawszy nieboszczyka; oddajemy mu pewne honory; bez względu na wyznanie, do którego należy, a nawet bez względu na to, czy wogóle do jakiegokolwiek należy, ba, nawet wtedy, gdy nie wierzy w nieśmiertelność duszy, uchylamy kapelusza przed tym, który był... Czynią to ludzie z szacunkiem, powagą, czynią to często nie ze względu na nieboszczyka, ale ze względu na siebie. Czynią to wtedy nawet, gdy nikt ich widzieć nie może. Czynią to właśnie dla owego majestatu, który się nazywa śmiercią.

A tymczasem — jak wygląda ten majestat? Okropna nagość, cienkość, chudość. Imaginacya wymyśliła nawet potworne tańce tych chudych odnóży. I znowu sprzeczność wrażeń: majestat i kościane ubóstwo, majestat i dziadostwo, majestat i potworny podryg, majestat i próchno.

A teraz spojrzyjmy raz jeszcze na cały szkielet, poczynając od dołu. Nogi — żebraka, postawa prosta — żołnierza, barki wązkie — młodzieniaszka, kostyczny uśmiech zębów — piekielnego szydercy, oczy — bezbrzeżnie smutnego człowieka, czoło — mędrca. A wszystkie wrażenia występują jaskrawo, nie równoważą się, nie zlewają w jedną całość — nie, odcinają się ostro, każde istnieje dla siebie.

Oto dlaczego szkielet ludzki wywiera zawsze na mnie wrażenie tak potężne. Oto dlaczego kocham go i lubię z nim obcować.

A. N.

PAMIĘTNIK.

Poszukiwanie lekarstwa.

Warszawa staje się wielkiem miastem, ale niestety tylko połowicznie; nie posiadając *zalet* stolicy, zaczyna mieć coraz więcej jej *wad*. Wśród tych ostatnich najbardziej uprzykrzonem staje się przeludnienie; miasto, zamknięte w ciasnych, dotychczasowych granicach, nie może się należycie rozwijać, a co najważniejsza, nie może swym mieszkańcom dać dostatecznej ilości placów budowlanych, wskutek czego drożyzna mieszkań zamienia się w bolesną chorobę chroniczną. Pracujemy wszyscy niemal przeważnie dla zaspokojenia nienasyconych apetytów naszych panów kamieniczników. Choroba ta snać poczyna się uprzykrzać bardzo cierpliwym i pokornym warszawiakom, gdyż zaczynają oni myśleć nad wynalezieniem lekarstwa na trapiące zło; jeżeli jednak pójdą dalej po drodze, na którą obecie weszli, to lekarstwa prawdopodobnie nie znajdą i choroba ich zje. Renta gruntowa rośnie, a cena ziemi zwiększyła się w Warszawie w ciągu ostatnich lat dwudziestu o 200 do 300%. Wzrosła zaś dlatego według wielu, że miasto jest ograniczone ciasną przestrzenią, po za którą z różnych przyczyn wyjść nie może, więc przy małej podaży a wielkim popycie ceny musiały podskoczyć i będą iść w górę nieustannie, aż wreszcie dojdą do niedorzeczności. Według naszych ekonomistów lekarswo na to jest proste: rozszerzyć rogatki, dać przedmieściom urządzenia miejskie, poprawić komunikacyę itd. a ceny ziemi zaraz spadną. Otóż byłoby to prawdą, ale tylko wtedy, gdyby ludność Warszawy przestała wzrastać równocześnie, na co się wcale nie zanosi. Jeżeli zaś będzie dalej tak, jak do tej pory, to posuwanie granic miasta nic nie pomoże, tak jak nie pomogło w Londynie, gdzie istnieje ten sam brak tanich mieszkań. Na to jest zupełnie inne, ale radykalne lekarstwo. Najlepiej byłoby uspołecznić ziemię warszawską i przez zniesienie wolnej konkurencyi ograniczyć wzrost ceny niemal dowolnej. Zanim to jednakże nastąpi obywatele powinni pomyśleć o ujęciu kwestyi w swe ręce na drodze organizacyi współdzielczej a pomocną może w tym razie być świeżo powstała komisya do spraw współdzielczych, która swej rady nie odmówi. Spółki budowlane są zawsze najlepszą bodaj bronią w walce z niesumienną spekulacyą i wyzyskiem. Gdy nas prywatna inicyatywa nie zadawala, mamy prawo i obowiązek zabrać się sami do roboty i potrzeby swoje zaspokoić zgodnie z własnym dobrze zrozumianym interesem. Wzorów podobnych spółek budowlanych znajdziemy za granicą wiele i wystarczy jedna podróż do zapoznania się ze stanem tej sprawy u innych. Wtedy zaś, gdy sobie sami domy budować zaczniemy, to nietylko będziemy mieć mieszkania tańsze, ale i lepsze, bo stawiane nie dlatego, aby dały jak największy zysk kapitaliści, lecz w celu dostarczenie możliwie największej wygody mieszkańcom.

Korfanty i ołtarz.

Pisma doniosły, że księża górnośląscy odmówili Korfantemu ślubu. Najświeższe wiadomości pouczają nas, iż uczyniono to z polecenia arcybiskupa Koppa. Zakochany poseł zwrócił się do księży krakowskich. Tam istotnie zawrzało z oburzenia; ale zjawiły się przeszkody natury formalnej. Przypominamy tedy księżom krakowskim zdanie Chrystusa: „Wyciągaj cielę ze studni, nie patrz na to, że jest szabas.“ Ale wierzymy w to, że nim słowa niniejsze zostaną wydrukowane, kler krakowski pozbędzie się skrupułów. Wszak książę kardynał rozporządza prawem indultu. Ba, ale dlaczegóżby ksiądz Puzyna miał być odważniejszy od hrabiego Tarnowskiego? Ten nie przyjął węglowego posążku Władysława Jagiełły od Górnoślązaków, to tamten nie przyjmie prośby o ślub od Korfantego. Pontifex Maximus w porę zachorował i nie można go niepokoić sprawą zakochanego posła. Więc czegóż wy chcecie od Korfantego? żeby przeszedł na inną wiarę albo został ateuszem? Aha, Kanossy chcecie. Stosunki się zmieniły. Dziś Rzym do niej idzie. A słyszeliście, co to jest Symonia? Bo tu mamy typowy fakt symonii politycznej. „Rzymie, nie jesteś ty już dawnym Rzymem! — tak wołał pasterz trzód, siedząc na koniu...“ Kanossą twoją jest dziś Berlin. Leonie XIII, byłeś Henrykiem IV! Na progu śmierci ugiąłeś się przed Teutonami! Wilhelm II został Grzegorzem VII, a tem sromotniejsze to dla ciebie, że nie posiada jego geniuszu. Rzymie, jesteś politycznym kramarzem. Licytujesz: kto da więcej!..

Hańbiąca praktyka.

W tych dniach zarząd Pogotowia ratunkowego przystąpił do opróżnienia umieszczonych w sklepach i biurach różnych instytucyj puszek z ofiar składanych na rzecz Pogotowia. Okazało się, że prócz pewnej ilości pieniędzy dobrych znaleziono wiele monet fałszywych, wiele bezwartościowej drobnej monety austryackiej i niemieckiej, wreszcie medaliki, a nawet proste blaszki. Wobec tego faktu przychodzi zadać sobie pytanie: jakie pobudki mogą skłaniać ludzi do obciążania puszek takimi datkami? Wszak każdy, wrzucający do puszki przedmiot nieużyteczny, posiada chyba świadomość swego czynu. Czyżby w oczach łobecnych chciał odegrać rolę dobroczyńcy tanim kosztem? Boć datek jego jest najzupełniej dobrowolny, nikt go nie zmusza, aby dawał, jeśli nie może lub nie chce. Zawsze więc i na każdym kroku to wstrętne kłamstwo, które tak nam już w krew weszło, że je popełniamy tam nawet, gdzie nie zachodzi tego konieczna potrzeba.

Przygoda Pogotowia nie jest faktem odosobnionym. Taką samą zawartością, złożoną z guzików, blaszek, nawet kamieni pochwalić się może każda niemal puszka, wystawiona publicznie, a myśmy już tak do tego przywykli, że nawet protestować zapominamy.

Ładny obrazek.

Są u nas do dziś dnia ludzie, twierdzący uporczywie, że wszelki ruch społeczny jest na naszym gruncie płonką obcą i z obcej ziemi przeszczepioną, że w naszem społeczeństwie niema jeszcze warunków takich, jakie oddawna panują na Zachodzie. U nas, powiadają nieświadomi rzeczy lub fałszerze opinii publicznej — niema chwała Bogu wyzysku i jeśli kto chce pracować uczciwie, chleb dla siebie i dla rodziny znajdzie. Optymistycznym tym twierdzeniom zaprzeczają coraz częściej do publicznej wiadomości dochodzące fakty, które rzucają ponure światło na nasz rynek pracy. W dzisiejszym numerze dajemy sprawozdanie pracy Grzegorza Witkowskiego — niejednemu powinna otworzyć oczy na położenie naszej klasy pracującej. Obok tego zwracamy uwagę na sprawozdanie p. Czyrikowa, który zbadał warunki sanitarne i zarobkowe na naszych zaledwie kilku spławnych rzekach. Ze sprawozdania urzędowego okazuje się, że jak w tysiącznych innych przy-

padkach tak i w tym, wcale u nas nieodosobnionym, szeroki ogół, zarówno jak i garstka ludzi, bezpośrednio w żegludze na rzekach zajętych pada ofiarą bądź niesumienności i niedbalstwa, bądź też chciwości i wyzysku przedsiębiorców. Zbadanie sprawy udowodniło jasno jak na dłoni, że aż w dziesięciu najważniejszych punktach warunki żeglugi na naszych rzekach nie odpowiadają słusznym wymaganiom podróżnych i służby. Potrzeby sanitarne nie są wcale uwzględniane, najelementarniejsze względy bezpieczeństwa publicznośći lekceważone, a warunki pracy równają się wyzyskowi i krzywdzie. Ponieważ jest to sprawozdanie urzędowe, nie można więc ani przez chwilę podejrzewać jego bezstronności; jest ono możliwie objektywne i spokojne, dla tego wolno się na niem oprzeć dla wyciągnięcia smutnych wniosków o warunkach pracy na naszych rzekach. Muszą być one już bardzo smutne, skoro władza uznała za stowne wmieszać się do sprawy i położyć swoje *veto* tam, gdzie pewna sumienność społeczna powinna była wystarczyć do usunięcia wszystkich krzyczących braków. Obecnie należy mieć nadzieję, że stosunki się poprawią, a warunki sanitarne i płaca robotników będą o wiele lepsze i sprawiedliwsze.

Muzea prowincyonalne.

W jednym z ostatnich numerów *Wiek* porusza doniosłą sprawę muzeów prowincyonalnych. Jest to sprawa bardzo piekąca i dla nas ważna. Przedewszystkiem przemawiają tu względy natury zasadniczej. Wszędzie przychodzą ludzie do przekonania, że skupianie wszystkich środków kształcenia w trudno dostępnych dla szerokich mas muzeach centralnych miast stołecznych, stanowi nietylko premium za ucieczkę z prowincyi, ale i przeszkodę do krzewienia oświaty i wiedzy wszędzie tam, gdzie jej ludzie pragną. Chcąc korzystać z muzeum stołecznego, trzeba odbywać podróż daleką i nieraz kosztowną, a przytem odrywać się od pracy, na co sobie bardzo niewielu ludzi pozwolić może. Decentralizacya środków oświaty jest jednem z ważnych zadań najbliższej przyszłości. Ale obok tego względu zasadniczego istnieje w naszych warunkach inny jeszcze bezpośredni i praktyczny, z poprzednim jednakże jak najsilniej związany; tym względem jest pobudzenie do życia umysłowego drzemiącej prowincyi, biorącej tak mały udział w naszem życiu kulturalnem. Muzea takie staną się niezawodnie ogniskami kultury i, co ważniejsza, tak zaniedbanych u nas badań ludo- i krajoznawczych. Dzisiaj niema zachęty do gromadzenia zbiorów prowincyonalnych, wskutek czego wiele cennych okazów przepada na zawsze i zmniejsza się możność dokładnego poznania przeszłości naszego kraju! Muzea prowincyonalne uchronią wiele okazów kopalnych i etnograficznych od zagłady i staną się potężną dźwignią naszego folkloru. Zakładajmy więc muzea prowincyonalne i ułatwiajmy naszym badaczom pracę nad zagadnieniami naszej rodzimej nauki.

Ja, Herr Teutończyk...

Doprawdy, Dahn lub Jacobowsky mają już bohatera do niemieckiego „Króla-Ducha“. Poemat nasz zaczyna się, jak wiadomo, od słów:

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem...

a w drugiej zwrotce:

Ja, Her Armeńczyk leżałem na stosie.
Trupem...

Asesor dr. Herr, autor najnowszej broszury, zawierającej rady, jak tępić Polaków, obecna najnowsza radość i ukochanie hakatystów, byłby opiany mniej więcej w ten sposób:

Ja, Herr Teutończyk, leżałem na stosie
Trupem, gdy wrzały wybory w stolicy,
Berlin w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy,
Od socyalizmu wszędzie świeciło się,
Szesnaście razy polscy wybiornicy
Zagrzmieli, polska ulewa wciąż pluska
Leżałem. — Zbroja na mnie była pruska.

Wtem uderza piorun sofizmatu i budzi olbrzyma. „Wszyscy równi wobec prawa, to nie znaczy, jakoby dla wszystkich miały istnieć równe prawa.“ Nie trzeba tedy „wyjątkowych“ praw dla germanizacyi, ale poprostu „praw“. Ma to znaczyć: Niemiec jest obowiązany germanizować Polaka, wydrzeć mu język, zniemczyć nazwisko, zabrać ojcowiznę; a Polak jest obowiązany dać się zgermanizawać, dać sobie wydrzeć język i dać sobie zabrać ojcowiznę. Rzeczywiście jeden i ten sam paragraf napisany dla obu stron! A logika? Odpowiedzą nam niemieccy poeci, snując dalej epopeję o pruskim „Królu-Duchu“:

Wtenczas logika wystąpiła ze mnie
I o rzecz pruską już nie utroskana
I za słusznością nie płacząc daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana
Poszła — a wiedzą pruskie urzędniki,
Czem moc bagnetu a strata logiki!

Czerwony djabel.

Stanął na ulicach Warszawy w kształcie eleganckiego automatu, zapełnionego łakociami. Prawdziwa pokusa dla dzieci. Iskrzą się im oczy, gdy go zobaczą. Tylko wrzucić do jego paszczy miedziany pieniążek a wyskoczy czekoladka.

— Mamusiu, daj pięć kopiejek!

A mamusia daje.

Mijają kilka ulic. Znowu stoi ten dyabeł.

— Mamusiu kochana...

I mamusia znowu daje.

Ale w oddaleniu kupi się gromadka dziatwy odartej, ubogiej. I jej się iskrzą oczy. Żadna mamusia nie da pięciu kopiejek. Ho, ho! pięć kopiejek, to suma poważna. Ale ponęty mają nietylko dzieci ładnie umyte, ładnie uczesane i ładnie ubrane. Dziecię ubogie lubi tak samo niespodzianki. Czerwony djabeł milczy a kusi. Co chwila przechodzą zamożniejsi rodzice z dziećmi, co chwila wpada do paszczy djabła miedziany pieniążek i wyskakuje czekoladka.

— Słuchaj, brachu, to jednak trzebaby coś na to poradzić...

I biedne, kuszone dzieciska radzą sobie. Łakocie nęcą, niespodzianka nęci — czekoladka, czy pomadka? Więc wrzucają kamyczki, tekturki, wreszcie blaszki. Aż tu z za węgła wyskakuje djabeł w ludzkiej postaci i chwyta za kołnierz.

Rozpoczyna się lament, krzyk rozpaczliwy, błaganie:

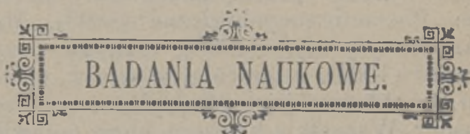
— Mój złociusieńki panie, puść, ojej puść, już nie będę, nie będę, nie będę...

Ale sprawiedliwość jest nieubłagana. Malca wloką przez ulicę. Już jest patentowanym złodziejem. Zgubiła go ta przeklęta czekoladka. Nęcąca niespodzianka zamienia się na cyrkuł i śledztwo.

A pisma nasze codzienne notują z oburzeniem upadek moralności w naszem społeczeństwie. Nawet automatu nie można ustawić na ulicy, bo zaraz poczną wrzucać do niego blaszki zamiast pieniędzy! Skandal...

Było ongi prawo w Anglii, że jeśli w czasie głodu handlarz wystawi materyały spożywcze na pokusę ludności, to podlega karze. Proszę mi powiedzieć, czy takie wystawianie automatów z łakociami na rogach ulic nie jest pokusą dla biednej dziatwy, pokusą bardzo demoralizującą i karygodną? Dziecię biedne ma te same pragnienia, co dziecię rodziców zamożnych; i jedno i drugie lubi łakocie; tylko jedno może je mieć, a drugie nie może, lecz natomiast jest skazane na to, aby się przypatrywało szczęściu innych. Tak, dla jednego czekoladka, dla drugiego cyrkuł. Ach, doprawdy, posiadacie talent demoralizowania dzieci! Może powiecie, że ta sama ponęta widnieje w każdem oknie cukierni, w każdym sklepie z zabawkami dziecinnemi? O, nie znacie psychologii dziecka? Sklep, to sklep, tam strach wejść, tam jest i kasyerka i sklepowa, zresztą żadnej niespodzianki niema; wybieram, kupuję i płacę. Tu na ulicy stoi ten czerwony djabeł sam, można podejść blizko, nikt nie patrzy, nikt nie strzeże, tylko wrzucić coś tak ciężkiego, jak ów miedziany pieniążek — no i co wyskoczy: czekolada, czy inny figielek?

Ten okropny strach na ich twarzach, to całowanie po rękach stróżów, ten płacz — tak, my na to mało jesteśmy wrażliwi. Automat — Europa! A z biednemi dzieciakami? Od rzemyczka, do koniczka. Cóż powie na to nasza prasa pedagogiczna? Czy to godziwe kusić biedne dzieci? Czy nikt nie wgląda, co się dzieje w tych maleńkich, biednych duszyczkach? „Sei hart“ — powiada Nietzsche. A my z całą bezmyślnością bierzemy pierwszy lepszy jaskrawy aforyzm i robimy z niego program społeczny. Starożytność uczyniła z ponęty męki Tantalowe w piekle. Nowożytność, wrażliwa na półsłówka, na półcienie, chwytająca niepochwytne stany ducha, jest tak brutalnie bezwzględna, tak nieubłaganie egoistyczna, tak ślepa na to, co się dzieje w duszy bliźniego, a zwłaszcza tego biednego, lekceważonego bliźniego, że porównaćby ją można do karaibów w szewiotach i kamgarnach. Popierajmy przemysł krajowy, popierajmy naszych cukierników, czekoladników, łakociarzy! A dusze tych tysięcy ulicznego drobiazgu? Eh, na te dusze mamy cyrkuły i kryminały...



PRZYSZŁOŚĆ SOCYOLOGII.

Podczas gdy na niemieckich „wydziałach umiejętności prawnych i państwowych“ profesorowie prawa państwowego wywracają swoje scholastyczne (żeby nie powiedzieć: talmudyczne) koziołki, zdala od „przybytków wolnej i nieuprzedzonej nauki“ dokonywa się budowa nowej umiejętności XX w.—socyologii. Ta nowa nauka o wzajemnych stosunkach między ludźmi (Ratzenhofer) kiełkuje i rozwija się bujnie we wszystkich zakątkach obu części świata. Jej literatura, niemająca jeszcze lat stu, w ostatnich trzech dziesięcioleciach tak się rozrosła, że w całości trudno ją objąć pojedynczemu człowiekowi; zwłaszcza że pracują w niej z równą skrzętnością narody anglosaskie, romańskie i słowiańskie. Z wdzięcznością też witamy każde usiłowanie, które nam pozwala zoryentować się na tem olbrzymiem polu. Taką próbę, chociaż tylko jednostronną, podjął Paweł Barth w swej cennej pracy: „Filozofia historyi jako socyologia“ (1897), a świeżo Goldfriedrich w swej „Nauce o ideach historycznych w Niemczech.“ Obaj ci pisarze uwględniają tylko część socyologii, zajmującą się wykładem i objaśnieniem dziejów ludzkości. Natomiast bardzo praktyczną próbę objaśnienia całokształtu dzisiejszej socyologii przedstawiają ogłoszone przed rokiem artykuły Lester Ward'a w *American Journal of Sociology*. Pomijając kwestyę, czem właściwie jest

socyologia, autor wylicza dwanaście rozmaitych kierunków badań naukowych, nad któremi powiewała flaga socyologii. Sam wykaz tych kierunków jest już pouczający: 1) socyologia jako filantropia; 2) jako antropologia; 3) jako biologia; 4) jako ekonomia polityczna; 5) jako filozofia historyi; 6) jako specyalna nauka o społeczeństwie; 7) jako opis faktów społecznych (demografia); 8) jako nauka o stowarzyszeniach; 9) jako teorya podziału pracy (Durkheim); 11) jako teorya nieświadomego przymusu społecznego; 12) jako walka ras. Każdemu z tych kierunków przyznaje Ward względne uprawnienie; każdy z nich jednak jest tylko częścią socyogii. „Wszystkie — mówi on — podobne są do małych strumieni, których przeznaczeniem jest wpłynąć w wielką rzekę, mającą objąć całość wiedzy socyologicznej, gdy przeminą czasy krótkowidztwa społecznego.“ W tych słowach tkwi jądro całej sprawy. Gdyż jeśli bardzo często spotykamy się z poglądem, że socyologia nie jest nauką samodzielną, ponieważ niema jednolitego, a tem bardziej sobie wyłącznie właściwego przedmiotu; że pod nazwę socyologii wszelkiego rodzaju przedmioty podciągnąć można: to Lester Ward bardzo słusznie użył porównania różnych dopływów, zmierzających do jednej wielkiej rzeki. Wobec tego mogłoby się wydawać, że socyologia znajduje się w okresie przygotowawczym, w chwili zbierania przeróżnych materyałów do przyszłej budowy. W istocie jednak ten okres przygotowawczy przekroczył już Herbert Spencer, który większość wyliczonych tu kierunków w swym „Systemie filozofii syntetycznej“ ogarnął i szczegółowo przedstawił; ostatnimi czasy Gustaw Ratzenhofer w szeregu dzieł dał nam zwarty system socyologii, w którym pomyślnie rozwiązał prawie wszystkie zagadnienia wyżej wymienionych kierunków. Dziesięć lat temu rozpoczął on tę pracę dziełem: „Istota i cel polityki“; wkrótce potem następowały po sobie: „Poznanie socyologiczne“ (1898), „Monizm pozytywny“ (1899), „Etyka pozytywna“ (1901), a obecnie wyszła w wydaniu Brockhausa jego „Krytyka umysłowości.“ Wszystkie kwestye, które pojawiły się dotychczas w literaturze socyologicznej, dotyczące istoty procesu społecznego, jego sił ruchu, jego łączności z kosmosem, jedności praw rządzących wszechświatem i ludzkością, pojęcia dobra i zła, a nakoniec powstania i rozwoju umysłowości ludzkiej — tym wszystkim kwestyom daje Ratzenhofer zadawalające, od wszelkiego pesymizmu wolne rozwiązanie na gruncie pozytywnego i monistycznego poglądu na świat. Oczywiście, rozstrzyga on także najważniejsze pytanie wszelkiego systemu filozoficznego, odnoszące się do teoryi poznania. Bo takim zwykle bywa rozwój większej części myślicieli, że po objaśnieniu istoty świata oraz ludzkości, po odpowiedzi na pytania: skąd? dokąd? poco? dochodzą oni do kwestyi najważniejszej: do podstawy ludzkiej wiedzy, do uzasadnienia wszystkich objaśnień i poglądów, które nam i sobie dali o świecie i ludzkości. Tak było i z Kantem: po upływie około lat trzydziestu, w ciągu których pisał o niebie i ziemi, różnych objawach życia ludzkiego, psychologii i estetyce, zamknął on pierwszy okres swej działalności filozoficznej „Krytyką czystego rozumu,“ która stała się następnie punktem wyjścia dla wielu innych prac filozoficznych. Taką kolej rozwojową łatwo zrozumieć. Umysł filozoficzny przypatruje się ze zdumieniem zjawiskom konkretnym świata i życia ludzkiego i czuje się zniewolonym zdać sobie sprawę z ich znaczenia. Następstwem tego pierwszego filozoficznego dążenia Kanta były „Dzieje przyrody nieba i ziemi“ (1755), które pojawiły się na ćwierć wieku przed „Krytyką czystego rozumu“ (1781). Cechą charakterystyczną naszych czasów jest to, że dziś umysł filozoficzny chętniej zajmuje się polityką, walką klas, życiem i dążeniem społecznem, niż niebem i ziemią. Filozoficzny okres „burzy i naporu“ Ratzenhofera wyładował się w trzytomowem dziele: „Istota i cel polityki,“ w którem walki polityczne i społeczne przedstawia on jako proces naturalny, jako część wielkiego procesu wszechświatowego, w którym „prasiła,“ działając podług jednego prawa, objawia się w różnorodnych przemianach. Następnie w dwóch dziełach: „Poznanie socyologiczne“ i „Monizm pozytywny“ poucza nas o łączności świata społecznego ze wszechświatem, z naturą, o rodowodzie życia z nieorganicznej przyrody, o jedności nieożywionego świata z ożywionym i jedności praw nimi rządzących. Ale jeśli w naturze i świecie panuje jedno zgodne prawo, czem tedy jest dobro i zło? Gdzie miejsce dla naszej wolnej woli? Czy istnieje etyka, nauka, jak działać mamy i jakiemi zasadami się kierować? Na te pytania odpowiada Ratzenhofer w swej „Etyce pozytywnej,“ wykazując, że „nieprzyjaźń bezwzględna“ między grupami społecznemi pomaga do wzniesienia naturalnej zasady etycznej interesu indywidualnego na wyższy stopień interesu ogólnego. Ten interes jest zawiązkiem obyczajowości dla grupy, do której należymy i daje jednostce podstawę do sądzenia o powinności, do której ją wzywa sumienie. W dalszym rozwoju jednak interes pojedynczej grupy społecznej rozrasta się w coraz szersze zakresy (ludu, państwa, narodu, kultury itd.), z których wyłania się znowu odpowiednie uczucie powinności moralnej. W taki sposób powstają, wciąż się rozwijając, zwyczaje moralne i poczucie etyczne, na których się opiera „etyka pozytywna.“ Na tej podstawie buduje Ratzenhofer swój system etyki, która nie posługuje się ani żadnem objawieniem, ani też owem *Deus ex machina* „kategorycznego imperatywu.“ Na „Etyce pozytywnej“ kończy się cały system filozoficzny „pozytywnego monizmu.“ Ale własnie na tym punkcie ogarnia filozofa najgłębsze zwątpienie, czeka go najcięższa próba. Jakkolwiek wspaniała budowa stoi mocno, a szczytem swym sięga najświatlejszych wysokości etyki, budowniczego napadają lękliwe troski, czy to dzieło jego przedstawia świat rzeczywisty, czy nie jest odbiciem czczego pozoru. Skąd pewność, że świat spostrzegany przez człowieka myślącego jest rzeczywistym? A czy rzeczywisty nie jest czemś zupełnie odmiennem od tego fałszywego obrazu, jaki mu fantazya przedstawia? Czyż nie jest możliwem, że my „rzeczy samej w sobie“ wcale nie widzimy, a tylko pusty jej odblask, niedający nam nawet najmniejszego pojęcia o rzeczywistości. Te wątpliwości dręczyły przed stu dwudziestu laty królewieckiego filozofa i zmusiły go potem, po przedstawieniu wszechświata i życia ludzkiego, przyjrzeć się dokładniej domniemanemu „czystemu rozumowi,“ tj. zwierciadłu, w którem mu się świat i życie pokazywały. Te poszukiwania nie wypadły zadawalająco. To, co uważano dotąd za zasadniczą formę wszelkiego bytu — czas i przestrzeń, okazało się zasadniczą formą zwierciadła, a więc wszelka rzeczywistość rozpadła się, a świat przedstawił się jako przywidzenie naszego mózgu. Ogarnięty rozpaczliwem niedowierzaniem w ten „rozum czysty,“ ucieka filozof do „rozumu praktycznego,“ szukając w nim tego, czego mu „czysty rozum“ dać nie mógł. Próżna nadzieja! „Rozum praktyczny“ jest jeszcze chwiejniejszą podstawą, na której ledwie można zbudować wiarę. Taki był wynik filozofii kantowskiej. Dziś twórca samodzielnego systemu społeczno-filozoficznego czuje znowu potrzebę wyjaśnienia podstawowego pytania wszelkiej filozofii — zagadnienia teoryi poznania, aby cały swój system uzasadnić. „Krytyka umysłowości“ Ratzenhofera ma dostarczyć dowodu, że jego pogląd na świat przedstawia rzeczywistość, a nie jakieś *fata morgana*, które wskutek właściwości naszego mózgu oglądamy. Trudne postawił sobie zadanie; śmiało jednak rzec można: porównywając jego „Krytykę umysłowości“ z „Krytyką czystego rozumu“ Kanta, przyznać musimy, że Darwin i inni badacze przyrody nie napróżno żyli.

Ratzenhofer uspakaja nas! Swiat jest takim, jakim go nasz umysł pojmuje. Gdyż umysł nasz jest nie czem innem, jak tylko uświadomionym światem. Prasiła, która wszystko porusza i ożywia, uświadamia się w naszym umyśle. Pomiędzy naszym umysłem a światem niema żadnej przepaści tajemniczej, w którejby się mogła ukryć niewyjaśniona „rzecz sama w sobie.“ Ponieważ jesteśmy cząstką świata, a nasz umysł nie jest też niczem innem, jak tylko jego kawałeczkiem chwilowo uświadomionym, przeto może pojąć świat w jego rzeczywistości. Nie powinien tylko zbaczać „z pewnej drogi doświadczenia“ i nie zagłębiać się ani w fantazyach wiary, ani w dociekaniach rozumowych o „istocie zjawisk.“ Filozofia spekulatywna bowiem podobnie jak objawienie, nie dotrzymała swych obietnic. Ratzenhofer stoi przeto na gruncie doświadczenia przyrodoznawczego, nie spuszczając przytem z uwagi, że „przeznaczeniem każdej nauki, a w szczególności filozofii jest, być zrozumianą przez każdego gruntownie wykształconego człowieka; co jest w przeciwieństwie do „cechowości, która często pustkę myśli kryje pod fachową sztucznością wyrażeń“ i „bezustannie dosiada konika wszystkich filozofów cechowych — krytyki pojęć.“

Z tego pozytywnego stanowiska umysł jest „jednostajnem działaniem wszystkich urządzeń nerwowych w organizmie, które uzdalniają go do doznawania wrażeń i tworzenia wyobrażeń.“ W nim skupiają się wrażenia ze wspomnieniami i kojarzeniami, ażeby stać się myślą, odzwierciedleniem podmiotowem świata zewnętrznego. Warunkiem wszakże działania umysłowości jest świadomość. W przerwach świadomości (sen, omdlenie itd.) umysł nie może być czynny. To są fakty doświadczenia.

Samą świadomość (bez umysłowości) musimy wszędzie tam przyjąć, gdzie są obecne „charakterystyczne znamiona życia: ruch i rozwój,“ gdzie zatem, jak w całym świecie roślinnym, zachodzi przystosowanie do warunków życia. Jest to także faktem doświadczenia, że „skoro tylko w jakimś organizmie zbudzi się świadomość, to przyrodzone przymioty tego organizmu tak nią kierują, że się utrzymuje i je rozwija. Ten kierunek świadomego życia nazywa się intaresem wrodzonym“ („inherentes Interesse“). Ten interes wrodzony gra wielką rolę w filozofii Ratzenhofera, który tak uogólnia to pojęcie przyrodnicze, że uważa, iż „wszechświata bez interesu wrodzonego wyobrazić sobie nie można,“ przyjmuje on go nawet tam, gdzie polityczna lub udająca moralność pruderya przeczy takiemu interesowi. Jako ogólny objaw przyrody ta sprężyna wszelkiego działania jest wszechobecną. Uwydatnienie i podniesienie tego faktu przyrodniczego na gruncie nauk społecznych sprawia zupełny przewrót. Ten interes wrodzony zaczyna działać już przy pierwszem zbudzeniu się świadomości, gdyż zaledwie „budząca się świadomość odbiera już wrażenia od swego otoczenia w sposób odpowiadający wrodzonemu interesowi, tj. istniejącym zdolnościom.“ A ponieważ te wrażenia stanowią część składową umysłowości, interes wrodzony bierze udział w jej powstawaniu, skutkiem czego człowiek interesu wrodzonego wyzbyć się nie może. Jak doniosłego znaczenia jest ten pogląd w polityce i socyologii, nie potrzeba dowodzić myślącemu czytelnikowi.

W ten sposób umysłowość, powstała na gruncie świadomości po przyłączeniu się doświadczenia i przy współudziale interesu wrodzonego, jest „zdolnością organizmu świadomości do utrzymania i rowijania jaźni w walce o byt.“ Ale ponieważ tę umysłowość, jak widzieliśmy, przenika interes wrodzony, więc przez nią zjawiska świadomości otrzymują rys indywidualny interesu wrodzonego. Rozumie się, umysłowość ma swoje korzenie w materyalnym podkładzie jaźni i jest wynikiem prasiły, działającej w szeregu rozwojowym. „Kiedy najprostszy organizm dojrzeje do świadomości, znajduje on w sobie już uzdolnienia dane formalnie, które określają wrodzony jego interes. Te zdolności są dziełem prasiły, materyalnie zgrupowanej.“ „Im bardziej złożony jest organizm, tem bardziej umysłowość zwraca się od podrzędnej czynności życia do swobodniejszych, czysto myślowych skojarzeń, rozwijając zarazem interes wrodzony w wyższych postaciach. Działalność umysłowa staje się coraz subtelniejsza, a zakres doświadczenia coraz większy.“

Tych kilka przytoczeń potwierdza to, co powyżej zaznaczyłem: że podczas kiedy filozofia spekulatywna pozbawia nas rzeczywistości, Ratzenhofer prowadzi coraz dalej w jej głębie, rozjaśniając i oświetlając najciemniejsze jej zagadki. Niepodobna w krótkim przeglądzie wykazać wszystkich zagadnień psychologicznych, na które jego „monizm pozytywny“ zupełnie nowe rzuca światło. Wspomnieć musimy, że Ratzenhofer zniósł kantowską konfiskatę czasu i przestrzeni i te dwa fakty rzeczywistości przywrócił. „Wyobrażenie przestrzeni“—mówi on — możliwe jest tylko wtedy, jeżeli wiemy o zjawiskach zewnątrz nas zachodzących, wskutek czego bez doświadczenia pojęcia o niej mieć nie możemy. Słowem, przestrzeń nie jest bynajmniej wyobrażeniem a priori, jak Kant utrzymywał“. To samo rozumie się o czasie. „Czas, jako stosunek kolejnych objawów energii, tak dalece narzuca się spostrzeganiu człowieka, że nasze bezpośrednie doświadczenia wystarczają ażebyśmy sobie to wyobrażenie utworzyli; tem mniej przeto należy uważać je za wrodzone lub a priori dane, lecz przeważnie jako owoc doświadczenia.“ Te dwa objaśnienia uwydatniają pozytywizm filozofa. Stoi on na mocnym gruncie doświadczeń konkretnych, a nawet myślenie jest dla niego „analityczno-systematyczną funkcyą świadomości wewnątrz umysłu, pobudzonego czuciem.“ To są objaśnienia, które rozumieć można i które świadczą, jakie korzyści metoda przyrodnicza wniosła do dziedziny filozofii.

Wytłomaczywszy przyrodniczy rozwój umysłowości ludzkiej i jej zachowanie się wobec wyobrażeń i świata wewnętrznego, rozpatruje Ratz. wszechświat i ostatecznie, z tego samego punktu widzenia prawidłowości natury, „zagadnienia społeczne.“ Te zagadnienia nie zjawiły się poraz pierwszy wówczas, kiedy socyologia zajmować się zaczęto; istnieją one wogóle od chwili, gdy ludzie myślą przyczynowo; pod rozmaitemi nazwami i metodami oddawna szukano poznania socyologicznego. „Czem dla znajomości przyrody były przygotowawcze kroki astronomii po przezwyciężeniu średniowiecznej potęgi wiary, tem stać się ma socyologia, po uskromieniu absolutyzmu, dla naukowego zrozumienia wzajemnych stosunków między ludźmi. Jak w XVI stuleciu myśl wyłącznie była pochłonięta porządkiem świata, tak w XIX skupiła się głównie nad porządkiem społecznym, a w XX zagadnienia społeczne prawdopodobnie rozwiązane zostaną.“

Czyż to nie dziwne, że równocześnie Lester Ward w Washingtonie i Ratzenhofer w Wiedniu, wyrażają mniemanie, iż „wiele małych rzeczek w wielki strumień socyologii połączyć się musi.“ Ta pewność wydaje mi się zupełnie uzasadnioną; przemawia za nią oprócz powodów wewnętrznych, leżących w dotychczasowym rozwoju socyologii, także i nadzwyczajne zajęcie się socyologią coraz szerszych kół naukowych *w Niemczech*, które dotąd z niedowierzaniem na tę nową naukę spoglądały.

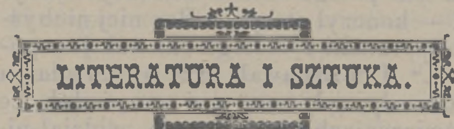
Prof. Ludwik Gumplowicz.

NOTATKI NAUKOWE.

— *Nouveau Larousse illustré*, Paris.

Pod tym tytułem wychodzi zeszytami od lat czterech encyklopedya ilustrowana, której obecnie pojawił się tom VI. Całość zawarta będzie w siedmiu tomach in 4-o; cena w przedpłacie bez oprawy 190 fr., w oprawis 225 fr. Wydawnictwo to stanowi w dziejach księgarstwa francuskiego niebywałe przedsiewzięcie. Do redakcyi powołano przeszło 400 współpracowników, stroną zaś techniczną zajętych było 600 osón płci obojej. Drukuje się w ilości 180,000 egzemplarzy, liczy już bowiem 147,000 przedpłacicieli, a liczba ich z każdym dniem wzrasta. Na sześć wydanych tomów zużyto 3,800,000 kilogramów papieru, oprawa waży 420,000 kilog., a na grzbiety wyszło dotąd 72,000 skór koźlęcych. Koszta współpracownictwa oraz płaca personelu wynoszą już 8 milionów fr.

Wydany obecnie tom VI zawiera artykuł o Polsce, zajmujący 5 szpalt, tj. półtory stronicy. Notatkę geograficzną napisał O. Reclus, historyczną — Treffel, językową — Enoch, literaturę scharakteryzowal Stryjeński, wreszcie sztuki piękne — H. Jouin i S. Rocheblave. Jedyną ilustracyą jest mapka Polski z 1634 r., herby i parę kostiumów z XIV i XVI w. Podane wiadomości nie wychodzą po za stary szablon podręczników, niemało więc w nich błędów, a niestaranna korekta pozostawiła tak przekręcone nazwy, jak: Polausw, Mostourki, Sierokomski, Pomerellie itp., które pozostawiam domyślności czytelników. Największem nieuctwem odznacza się notatka o literaturze polskiej, gdzie np. Kondratowicz wymieniony jest raz w liczbie poetów, a drugi raz jako Syrokomla w liczbie historyków współczesnych pomiędzy Bobrzyńskim i Kubalą. *Z.*



Jena czy Sedan?

Radzę przeciwnikowi „kraju bojaźni bożej i dobrych obyczajów“ (das Land des Gottesfürcht und der frommen Sitten) przeczytać książkę Beyerleina („Jena oder Sedan?“, Berlin, 1903, wydanie ósme), sprawi mu ona bowiem na pewno przyjemność. Cel autora — przekonanie publiczności niemieckiej, że czasy Sedanu minęły bezpowrotnie i że państwo niemieckie stoi u proga nowej Jeny — został osiągnięty w zupełności, a sądzę, że mało kto u nas po przeczytaniu tego twierdzenia nie wyrzeknie z całego serca: Amen, niech tak będzie!

Powieści p. B. nie należy identyfikować z tak licznymi, szczególniej we Francyi, utworami wrogów militaryzmu. P. B. nie jest ani Darrienem, ani Oktawiuszem Mirbeau, ani nawet Zolą w „Désastre“—kocha on swoją armię, daje nam cały szereg typów wojskowych, prostych żołnierzy i oficerów, przywiązanych do zawodu i z namiętnością pracujących nad wydoskonaleniem techniki militarnej, ale jednocześnie z nieubłaganą konsekwencyą wykazuje bezowocność ich usiłowań. To też wszyscy oni żyją albo w apatyi i zniechęceniu lub porzucają armię, jeżeli nie giną w walce z systemem, o który rozbijają się najlepsze ich chęci.

Sama fabuła powieści da się streścić w paru słowach. Młody chłopak Vogt odbywa służbę wojskową w pułku artyleryjskim, jako prosty kanonier. Jest on synem chłopa, posiadacza małego kawałka gruntu, byłego wojaka zawodowego, który znaczną część swego życia przepędził w koszarach i żyje jeszcze ciągle wspomnieniami tych dobrych czasów. Nic więc dziwnego, że młody Vogt idzie do wojska chętnie, a mając zdrowie fizyczne i otwarty umysł, łatwo znosi życie koszarowe i przywiązuje się nawet do niego. Wkrótce jednak dostaje się pod władzę oficera-pedanta, dla którego treścią życia wojskowego jest dokładne, mechaniczne wykonywanie wszelkich zewnętrznych drobnostek regulaminowych. Pogardza on żołnierzem, nic sobie z jego myśli i uczuć nie robi i jest przekonany, że władza, którą mu daje jego stanowisko, wystarczy zupełnie dla wydobycia z żołnierza tego, czego wymaga regulamin i dobro armii. To też, gdy raz Vogt przychodzi mu zameldować pomyślnie przez siebie wykonaną, a bardzo trudną i niebezpieczną robotę przy armacie, ten nietylko nie przyjmuje z uznaniem wiadomości, ale zaczyna strofować padającego ze znużenia żołnierza za to, że palce jego nieściśle przylegają do szwów spodni, a noga w kolanie nie jest dostatecznie wyprostowana. W rezultacie wyczerpany nerwowo żołnierz nie wykonywa rozporządzenia oficera, za co staje przed sądem wojennym i jest skazany na pięć miesięcy więzienia. Stary feldfebel, ojciec Vogta, tak mocno odczuwa hańbę, którą w jego mniemaniu syn okrył mu siwe włosy, że w końcu umiera. Przed śmiercią jednak przychodzi do przekonania, że syn miał słuszność i podczas głosowania pierwszy raz w swem życiu oddaje kartkę na kandydata wrogów wewnętrznych. Syn zaś, wyszedłszy z więzienia, porzuca myśl zostania w wojsku i, gruntownie wyleczony z przywiązania do militaryzmu, wraca na wieś, by iść dalej tą drogą, na którą wszedł przed śmiercią jego ojciec.

Pomijając kolegów koszarowych młodego Vogta, przejdziemy do drugiej części tego mikrokosmu wojskowego—oficerstwa. Tu następuje sformułowanie wniosków, których podstawę stanowią fakty z życia żołnierzy. Głównymi bohaterami są trzy, wręcz odmienne typy. Güntz, teoretyk o umyśle bystrym i otwartym, lecz skłonnym do sceptycyzmu, pracuje niezmordowanie nad udoskonaleniem artyleryi. Ale ma to nieszczęście, że się ożenił z nauczycielką; żona jego musi znosić impertynencye wszystkich dam garnizonowych. Pogardzając w duszy otoczeniem, poddaje się cierpliwie tym drobnym nieprzyjemnościom. Ma on prócz tego wroga w podkomendnym Landsbergu, typie oficera-hulaki, który zdobył swe stanowisko tylko dzięki protekcyi i uważa je wyłącznie za sposobność przyjemnego spędzenia czasu. Güntz wymaga ścisłego spełniania obowiązków służby, co hulakę tak drażni, że czynnie znieważa swego zwierzchnika w czasie pozasłużbowym, a ten wysyła mu wyzwanie. Pojedynek, to jedna z krzyczących anomalij t. zw. kodeksu honorowego. Jeden z bijących się jest młodym utracyuszem, któremu na życiu nic nie zależy, drugi — ojcem rodziny, człowiekiem nauki, pojmującym życie jako spełnianie obowiązków względem społeczeństwa, któremu może służyć rzeczywiście. Güntzowi już wtedy przychodzi myśl porzucenia służby wojskowej, tembardziej, że mu się uśmiecha świetna karyera na polu przemysłu, ale nie czyni tego, by jego kroku

nie objaśniono sobie tchórzostwem. Następuje pojedynek i Güntz... nie pada, jakby się napewno stało, gdyby powieść była utworem tendencyjnym. Wkrótce potem zmienia się kierownictwo pułku. Zwierzchnikiem Güntza zostaje karyerowicz, hołdujący panującemu prądowi, udający bigota i dbający tylko o przypodobanie się swym zwierzchnikom. Stosunek między nim a Güntzem staje się wkrótce tak naciągnięty, że ten ostatni podaje się do dymisyi i poświęca wynalazkom przemysłowym.

Przedstawicielem odmiennego typu jest pułkownik Falkenhayn. Osobiście zaprzyjaźniony z panującym, może dzięki swemu stanowisku doprowadzić swój regiment do doskonałości. To też popiera on zdolniejszych oficerów, wchodzi w życie żołnierza, jest wprawdzie nieubłaganym stróżem dyscypliny, lecz rządzi się sprawiedliwością. Regiment, poruczony jego opiece, mógłby stanowić wzór dla innych, a jego kierownik mógłby się czuć zadowolonym, gdyby na każdym kroku nie przekonywał się, jak bezpłodną jest jego praca. Każda wizyta zwierzchnika, rewia lub manewry dostarczają mu dowodu, że w wojsku niemieckiem cała uwaga skierowana jest na mechaniczne wyszkolenie żołnierza w czynnościach, które dawniej miały swe znaczenie, ale dziś chybiają najzupełniej celu. Przytem widzi, jak ukochana przezeń armia dezorganizuje się powoli. Jedni oficerowie zawdzięczają swe stanowisko koligacyom lub łasce zwierzchników, zdobytej na głośnych parkietach kilkudziesięciu rezydencyj. Inni są bogaczami świata przemysłowego i handlowego, którym sprawia przyjemność popisywanie się przez pewien czas świetnym mundurem. Ci wnoszą do armii zbytek i zarażają nim swych kolegów. Żołnierz, męczony bezcelowemi ćwiczeniami, znajduje się w stanie ciągłego rozdrażnienia. Pod grozą kodeksu słucha on swego przełożonego, ale czyni to niechętnie i nie znajduje podniety ani w poczuciu celowości zarządzeń władzy, ani w patryotyzmie. Temu ostatniemu sprzeciwiają się prądy wywrotowe, które znajdują w koszarach niemieckich grunt doskonały. Cóż bowiem z tego, że nad każdym żołnierzem roztoczona jest czujna opieka, gdy sam fakt współżycia w koszarach różnorodnych żywiołów musi wpływać na poglądy rekrutów. Wieśniak, wyrosły w patryarchalnych stosunkach, spotyka się tam z dzieckiem miasta, dowiaduje się o innem, lepszem życiu, traci szacunek dla prawd, którym hołdował dawniej i, gdy wróci na wieś, jest już materyałem podatnym dla wszelkich antypatryotycznych poglądów.

Falkenhayn zostaje przeniesiony do sztabu generalnego. Widzi on, jak wszystko, czego dokonał w pułku, wywrócone ma być do góry nogami przez jego następcę. Nie występuje jednak z armii, tylko pogrąża się w sceptycyzmie i obojętnie spełnia dalej swe rzemiosło.

Trzeci oficer, Reimers, odbywa kampanię boerską i wraca z niej przejęty chęcią służenia armii i ojczyznie. Sprzeciwia on się pesymistycznym poglądom swego przyjaciela Güntza, ale powoli, pod wpływem faktów i jemu otwierają się oczy. Kocha on się w żonie kolegi, bogatego rozpustnika, uczestnika jednego z licznych w Berlinie stowarzyszeń, zdających się występować przeciw naturze, który wskutek tego zmuszony zostaje do opuszczenia ojczyzny. Reimers zbliża się wtedy z jego żoną i dowiaduje się, że ona padła ofiarą rozpusty męża i została przezeń zarażona straszną chorobą. Ostatecznie oboje odbierają sobie życie.

A obok tych typów znajdujemy cały szereg innych, mniej miejsca w powieści zajmujących, ale nie mniej ciekawych. Podoficer Hepner gra w karty, zdradza żonę z jej siostrą, próbuje uwieść żonę swego kolegi i zostaje przez niego zabity w pojedynku. Żołnierz Wolf, dziecię wielkiego miasta, przed przybyciem do pułku przedstawiony władzy, jako indywiduum niezwykle niebezpieczne i wymagające ostrego dozoru; wiedząc o tem, wystrzega on się najdrobniejszej nieostrożności i dopływa szczęśliwie do końca czasu służby, lecz w dniu ostatnim, przy oddawaniu efektów wojskowych podoficerowi, jest świadkiem, jak ten rozkazuje żołnierzowi zlizać proch z butów świeżo wyczyszczonych i traci panowanie nad sobą, a podrażniony szyderczym wzrokiem podoficera, który urąga jego bezsilności, uderza go w twarz i oczywiście zostaje za to ukarany trzyletniem więzieniem. Charakterystyczna jest też scena bicia przez starszych żołnierzy rekruta, który swym brakiem zręczności fizycznej ściągnął na wszystkich dodatkową godzinę ćwiczenia. Ten rekrut ma doskonały wzrok i jest niezrównany przy armacie, ale do wszelkich ćwiczeń nie nadaje się, jak powiada jeden z oficerów, „jest w gruncie rzeczy żołnierz do niczego."

Wiedzieli to nawet najgłupsi żołnierze, że ćwiczenia w strzelaniu są najważniejszą stroną całego wykształcenia. I tu wysunął się naprzód Vlitzing, który w koszarach uważany był za najgorszego żołnierza. Przy strzelaniu do celu dostał pierwszą nagrodę. Ale przez to nie nauczył się lepiej maszerować, ani nie poprawił się w gimnastyce!"

„Czyż to możliwe, aby kilkuset ludzi poruszało się, jak maszyna? I co za cel w tem? Najprzód nie udaje się prezentowanie broni, potem ręce nie opadają jednocześnie i jednakowo na spodnie, wreszcie złe jest znowu prezentowanie. Przy marszu jedna lufa za nizko trzymana psuje symetryę karabinów, spoczywających na ramionach, a gdy się bagnety nareszcie wyrównają, okazuje się, że jeden z żołnierzy krzywo trzyma kolana i znowu wszystko jest źle..."

Gdy młody Vogt mówi ojcu o brakach dzisiejszego systemu, ten opowiada mu o bitwach podczas wielkiego pochodu (1870 r.): jak wtedy lotne oddziały strzelców rozpierzchały się, a ich miejsce zajmowały zwarte kolumny piechoty, jak się zawsze i zawsze ściskały szeregi, jeden wstępował na miejsce opróżnione przez drugiego i jak oni nie ustępowali, póki nie dostali się do wroga i nie zaczęła się wieńczona stale zwycięztwem walka ręczna.

„Na tem polega zaleta żelaznej dyscypliny! — kończył stary. — Bez niej niebyśmy nie poradzili i dlatego ona tak jest potrzebna." I pozostawał przy swem zdaniu nawet wtedy, gdy mu syn opowiadał, że przy ćwiczeniach piechoty nie widział nigdzie zwartej kolumny, że kompanie dążyły do celu w rozsypkę, ze zgiętym grzbietem, albo nawet pełzając. Pewno źle się temu przypatrzyłeś! — sądził stary."

Autor twierdzi o dzisiejszem położeniu Niemiec, że jest ono takie samo, jak w końcu XVIII w. Jak wtedy, tak i teraz armia niemiecka żyje tradycyą zwycięztw i nie jest w stanie zrozumieć, że zmienił się sposób prowadzenia wojny i nastrój ludności; olśniewa ją sława Sedanu, a nie przyszła dotąd żadna klęska pod Valmy, by jej oczy otworzyć i pokazać, że zbliża się groza Jeny.

Aleks.



Baśń lasu.

Wszechrozkwitu spłynęły gwiaździste eony
Na zgorzałe niepłodnych żwirów rozlewiska —
Z lazurowych roztoczy ciemnią bór wytryska,
Srebrnym puchem łzawnicy śnieżnej obramiony.

Smukłe sosen świeczniki, brzóz wiotkie kibicie
Mróz rzucił w przedskonnego odrętwienia skręty
I, perlistą okiścią szronów uśmiechnięty,
Po drogach niedeptanych idzie niszczyć życia.

Na białej szacie ziemi liści skrzy się rubin,
Zziębłą skroń pochylają przed władcą iglawy,
A w sercach obumarłych sen im kwitnie krwawy
O minionych dniach z jutrznią majową zaślu-
[bin,
O księżyca pieszczocie, przepychu zieleni
I skwarnych pocałunkach słonecznych promie-
[ni....

* * *

Nieśmiertelnych odrodzeń pieśń życie zbudzi-
[ła —
Pszczelny rój skrzętnie w ule słodką zdobycz
[sączy,
Paprotnych krzewów sploty, dzikich gęstwie
[pnączy
Z podłoża mchów wykwieca wiecznych pędów
[siła.

Na marzeń krosnach wyprządł bór nowe na-
[dzieje
I przyszłych plonów rzuca niezwiędłe po-
[siewy —
Przez zbudzonych modrzewi i świerków aleje
Płyną młodych zapłodnień wichroskrzydłe
[wiewy.
O światła łaskę bije z poręby wołanie,
Lśni tęczą różnowzorą drzew połysk w prze-
[zroczy,
Na kłoszonej ziół bielą, dziewiczej polanie
Ku słońcu samotników *) błędne patrzą oczy....

I w dzień ten, upragnieniem ziszczonem ra-
[dosny,
O rozkoszy konania śnią graby i sosny....

Bogdan Breszel.



Na kresach zachodnich.

Nigdy dotychczas zainteresowanie się sprawami Poznańskiego i Górnego Śląska nie dochodziło u nas do takiego stopnia napięcia jak obecnie. Tragedya wrzesińska, debaty polskie w parlamencie rzeszy i w sejmie pruskim, ustawicznie powtarzające się procesy polskich dziennikarzy i polskich dzieci, postępy komisyi kolonizacyjnej i akcya obronna społeczeństwa polskiego, ewolucya prądów politych w Poznańskiem, odrodzenie Górnego Śląska, pierwsze kroki na arenie politycznej różnych warstw społecznych, wyjarzmiających się z pod wpływów panujących, socyal-hakatyzm - wszystko to obchodzi nas bardzo, wszystko to budzi chęć gruntownego zapoznania się z całokształtem stosunków, panujących w polskich dzielnicach Prus. Niestety po za luźnemi korespondencyami do tygodników i miesięczników, po za dorywczemi wzmiankami przepojonemi subjektywizmem ich autorów, nie mamy dotychczas źródeł, z których moglibyśmy zaczerpnąć wiadomości, koniecznych do zapoznania się z podłożem ekonomiczno-społecznem walk rozgrywających się na naszych kresach zachodnich, z ukrytemi sprężynami ewolucyi społeczeństwa polskiego nad Wartą i Odrą. Pierwszą próbą dostarczenia nam trwałej podstawy do oceniania stosunków polskich

*) Samotnik-nieśmiertelnik (w ludowej gwarze kieleckiego).

dzielnic Prus jest świeżo wydane dzieło dr. J. B. Marchlewskiego. *)

Dr. J. B. Marchlewski podzielił swą pracą na pięć części, z których każda rozpada się na kilka rozdziałów. W części pierwszej rozpatruje stosunki ludnościowe dzielnic polskich (z wyjątkiem Mazowsza pruskiego **), a więc stan zaludnienia i ruch ludności, wychodźstwo, rozmieszczenie geograficzne ludności i ruch w poszczególnych powiatach, stosunek liczebny narodowości polskiej i niemieckiej, stosunek ludności wiejskiej do miejskiej. Część druga jest poświęcona stosunkom rolniczym, trzecia przemysłowo-handlowym. W części czwartej znajdujemy charakterystykę położenia mas ludowych. Część piąta wypełnia opis walki narodowościowej na tle stosunków ekonomicznych.

Książka p. Marchlewskiego opiera się na całym szeregu źródeł niemieckich i roi się od cyfr, podawanych kolumnami i całemi stronicami. Cyfry takie posiadają wartość tylko wówczas, jeśli są owocem sumiennych skrupulatnych zestawień i sprawdzań. Niestety, bliższe przyjrzenie się cyfrom, podawanym przez p. Marchlewskiego, odrazu budzi w nas wielką nieufność, a po sprawdzeniu kilku zupełnie błędnych i niemniej błędnie z nich wysnutych wniosków poczynamy mimowoli niewierzyć i reszcie cyfr jakoteż wywodów, których nie możemy sprawdzić doraźnie, bez uciekania się do źródeł z pierwszej ręki.

Weźmy np. dane, dotyczące ludności Poznańskiego. Na str. 10 ludność Poznańskiego w r. 1890 podana jest na 1,738,104. Na str. 32 ludność Poznańskiego w tym samym roku 1890 zwiększyła się z niewiadomych nam powodów o 13,538 Na str. 31 liczba Polaków w Poznańskiem (dane z roku 1890) podana jest na 1,052,410, na następnej liczba ta urosła do 1,053,184, na str. II (Przedmowa) zaś zmalała do 934,601. Która z tych cyfr jest błędną, którą należy uważać za prawdziwą? Najwidoczniej autor korzystał z trzech źródeł całkiem niekrytycznie. Na tej samej stronie przedmowy czytamy, że liczba Polaków w Poznańskiem wzrosła od r. 1890 do 1900 z 934,601 do 1,612,635. Jest to nietylko nieprawdopodobne, ale wprost niemożliwe. Cóż jednak mamy czynić, czytając następujący wniosek z tych fantastycznych cyfr: „Wynika stąd, że pomimo barbarzyńskich prześladowań, pomimo wysiłków rządu pruskiego, by zgnieść narodowość polską, wytępić samo imię Polaków, stosunek liczebny zmienił się w ostatniem dziesięcioleciu na korzyść żywiołu polskiego“? Moglibyśmy się cieszyć z tego, ale któż wie, czy ten wniosek nie jest tak samo fantastyczny, jak i cyfry, na których się opiera? Bo, że p. Marchlewski potrafi wysnuwać wnioski, zupełnie niegodzące się z cyframi, przez niego podawanemi, na to mamy dowody w jego książce. Oto np. na str. 131 mówi on: Musimy zatem wyprowadzić wniosek, że przeciętny obszar gospodarstwa włościańskiego raczej zmniejszył się niż powiększył w Księstwie i Prusiech Zachodnich, powiększył się nieco na Górnym Śląsku. A wniosek ten wyprowadza z tabelki, według której na gospodarstwo włościańskie (20—100 hektarów) przypadało w r. 1882—46, a w 1895—42. Tymczasem z tabelki bardziej szczegółowej, umieszczonej o kilka stron wyżej (127) dowiadujemy się, że obszar ten w r. 1882—38,7, a w 1895—42 czyli (nawet po uwzględnieniu poprawki autora) obszar gospodarstwa włościańskiego nietylko nie zmniejszył się, ale się *powiększył*. Mamy więc jeszcze jeden powód niedowierzania wnioskom autora.

Ale co mówić o takich wnioskach, które dadzą się sprawdzić jedynie po mozolnych obrachowaniach, kiedy autor wyciąga fałszywe wnioski z cyfr najzupełniej wyraźnych. Na str. 5 autor komonikuje nam, że na Górnym Śląsku w okresie od 1816 do 1855 przybywało przeciętnie ludności 2,39, w ll. 1855—1875 — 1,92, od 1875 zaś do 1890 — 1,42. Tymczasem o kilka wierszy wyżej *przeciętna* przybytku ludności rocznie w tym okresie (1816—1855) wynosi 3,04%. W jaki sposób przeciętna może wynosić więcej od owych danych szczegółowych, nikt chyba nie wytłomaczy. Albo jak pogodzić z logiką takie np. dane: w Niemczech ilość zejść wynosi 3,74%, w Prusach Zachodnich zaś i w Poznańskiem 2,55% resp. 2,38 — a autor twierdzi (str. 6), że śmiertelność w tych dzielnicach polskich jest *wyższa*, niż w Niemczech.

Chcąc przytoczyć wszystkie te ustępy, gdzie wnioski autora kłócą się z cyframi, musielibyśmy posprawdzać wszystkie jego cyfry, bo nie możemy mieć do nich żadnego zaufania. Weźmy na chybił trafił jeszcze następujące dane. Własność o obszarze większym niż 60 morgów w Prusach wynosi 43,93%, w Poznańskiem 57,33%, na Śląsku — 51,22% (str. 117). O trzy wiersze dalej cyfry te uległy niczem niewytłomaczonej metamorfozie i występują w postaci 55,31 dla Śląska, 61,72% — dla Poznańskiego. Ktoby chciał dowiedzieć się z książki p. Marchlewskiego, jakim losom uległy gospodarstwa sprzężajne w Poznańskiem, ten mógłby poprostu wpaść w rozpacz, odczytując na str. 118 i 119 coraz to inne cyfry, tego przedmiotu dotyczące.

Czego to wszystko dowodzi? Oto pośpiechu, niepozwalającego autorowi dokładnie przetrawić nagromadzonych zewsząd danych, i niesumienności kompilatorskiej. Pomimo więc wszelkich pozorów uczoności dzieło p. Marchlewskiego nie posiada większej wartości od pierwszego lepszego artykułu dziennikarskiego lub korespondencyi, a jego wnioski, niekiedy bardzo ciekawe i godne zapamiętania, są jedynie subjektywnem zapatrywaniem autora — może słusznem, może nie, w każdym razie niemogącem nam zastąpić wniosków naukowych, opartych na danych, zupełnie sumiennie opracowanych.

Jeśli dodamy do błędów autora ogromną moc drukarskich (np, na str. 319 mamy następującą tabelkę lat: 1886, 1887, 1888, 1889, 1890, *1801*, 1892, 1890, 1894, *1805*, 1896, 1897, 18z8 itd.), ostatecznie podkopujących naszą ufność do cyfr, przytoczonych przez p. Marchlewskiego, to przyjdziemy do smutnego wniosku, że książka jego nie zapełnia luki w naszej literaturze. I to tem bardziej, że jest ona przestarzała już w chwili swego ukazania się na rynku księgarskim. P. Marchlewski bowiem opiera się na danych spisu z r. 1890, gdy tymczasem są już ogłoszone dane z r. 1900. Szkoda pracy autora, szkoda środków Towarzystwa nakładowego, szkoda zaś przedewszystkiem czytelników, którzy nie odniosą pożytku z przeczytania „Stosunków społeczno-ekonomicznych pod panowaniem pruskiem.“

Leon Wasilewski.

*) Stosunki społeczno-ekonomiczne pod panowaniem pruskiem. Lwów MCMIII Polskie Towarzystwo Nakładowe. Warszawa, księgarnia Teodora Paprockiegoi S,ki. str. IV 384.

**) Autor, co prawda mówi o pominięciu Kaszub; ale to się z rzeczywistością nie zgadza; gdyż Kaszuby jako inteligentna część Prus Zachodnich, zostały przeżeń uwzględnione. A może autor miał na myśli drobną garstkę ludności polskiej na Pomorzu.



KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z inicyatywy kilku przemysłowców powstaje w Warszawie stowarzyszenie, którego zadaniem ma być urządzanie mieszkań odpowiednich dla ludności pracującej.

— *Kur. Warsz.* donosi, że grono kobiet-lekarzy zwróciło się do rady lekarskiej o pozwolenie na używanie, zamiast „kobieta lekarz,“ tytułu „lekarz“ lub „doktór“. Rada lekarska uznała to za możliwe, zastrzegła jednak, aby w każdym wypadku wyjednywane było pozwolenie urzędu lekarskiego, który orzeknie, czy używanie takiego tytułu nie wprowadzi w błąd publiczności.

— *Now. Wremia* donosi, że główny zarząd handlowej żeglugi morskiej zajął się sprawą uregulowania przewozu wychodźców.

— Dnia 5 lipca r. b. odbyła się w Pradze czeskiej uroczystość narodowa ku uczczeniu pamięci męczennika idei, Jana Husa. Jednocześnie w obecności przedstawicieli wszystkich ludów słowiańskich położono kamień węgielny pod jego pomnik.

Z Poznańskiego. W Poznaniu odbyło się posiedzenie, na którem postanowiono otworzyć z d. 1 października miejscową akademię. Program nowej uczelni obejmuje: 1) ćwiczenia praktyczne w rozmaitych zawodach naukowych w celu uzupełnienia nabytych wiadomości; 2) prelekcye w tym samym kierunku; 3) odczyty ogólno-kształcące; 4) akademickie kursa popularne, dotyczące filozofii, literatury niemieckiej, filozofii francuskiej i angielskiej, historyi powszechnej i ekonomii, nauk przyrodniczych i sztuki. Rektorem został dotychczasowy profesor uniwersytetu marburskiego, dr. Kühnemann; profesorów jeszcze nie mianowano.

Szkoły i wychowanie. Nauczycielom szkól technicznych przyznano wynagrodzenie dodatkowe za poprawianie wypracowań uczniów.

Nauczyciele i nauczycielki szkół początkowych miejskich otrzymywać będą wynagrodzenie dodatkowe po 75 rb. rocznie za każde 10 lat wysłużonych przy jednej i tej samej szkole.

— Zarząd warszawskiego okręgu naukowego ogłasza, że na zasadzie istniejących przepisów, ostatni termin podawania próśb o dopuszczenie do egzaminów z kursów gimnazyów męzkich i żeńskich oraz progimnazyów, oznaczono na dzień 19 lipca r. b., przyczem prośby owe winni podawać rodzice lub zastępujący ich krewni czy opiekunowie; podania po terminie oznaczonym nie będą uwzględnione. Prośby o dopuszczenie do egzaminów na świadectwo przy warszawskiej szkole realnej winny być podawane bezpośrednio pod adresem dyrektora szkoły w tym samym terminie

— Zapisy do szkoły rolniczej w Sobieszynie rozpoczną się d. 29 sierpnia. Kandydaci do klasy przygotowawczej i pierwszej winni złożyć, oprócz zwykłych dowodów, zaświadczenie szkoły lub policyi o moralnem prowadzeniu się, na ręce zarządzającego szkołą sobieszyńską.

— Galicyjski Wydział krajowy ogłasza, że z fundacyi Teofila i Hersylii Janiszewskich wakuje sześć stypendyi po 600 koron rocznie dla uczącej się młodzieży narodowości polskiej, wyznania katolickiego, urodzonej w Galicyi, W. Ks. Poznańskiem lub Królestwie Polskiem. Ubiegać się o powyższe stypendya mogą kandydaci, którzy po ukończeniu szkół technicznych zamierzają kształcić się w wyższych instytutach naukowych, lub też odbyć praktykę w zakładach rękodzielniczych i przemysłowych za granicą. Podania wnosić należy do Wydziału krajowego Galicyi przed d. 20 sierpnia r. b.

Wiadomości naukowe. Trzynasty zjazd chirurgów polskich odbędzie się w Krakowie d. 13 i 14 b. m. Przy zjeździe urządzona ma być wystawa przyrządów i instrumentów chirurgicznych.

— W Czytelni akademickiej we Lwowie postanowiono utworzyć „sekcyę dziennikarską“ w celu kształcenia młodzieży uniwersyteckiej.

Literatura prasa. Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych wydawnictwo gazety *Znamia* zawieszone zostało na miesiąc.

— W Lipsku skonfiskowano broszurę L. Tołstoja p. t. „Nie zabijaj!“, w której dopatrzono się obrazy cesarza Wilhelma.

Ze sztuki. W sprawie własności artystycznej senat dał następujące wyjaśnienie: Aby zapewnić swemu dziełu dożywotnią nietykalność, artysta winien przedstawić je u rejenta i opisać jego treść w akcie, który stanowi dowód własności, następnie zawiadomić o tem Akademię sztuk pięknych, dołączywszy kopię rzeczonego aktu, który Akademia ogłasza publicznie, i to czyni ową własność bezsporną, a artyście daje prawo poszukiwania winnych jej przywłaszczenia. Bez powyższych zastrzeżeń własność artystyczna nie jest nietykalną.

— W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę obrazów Arnolda Böcklina, która obejmuje 16 prac olejnych oraz 21 reprodukcyj heliograficznych z dzieł większej wartości artystycznej.

— D. 3 lipca otworzono w Wieliczce słowiańską wystawę fotograficzną. Zgromadzono na niej 2,200 okazów.

— W Paryżu otworzono muzeum Wiktora Hugo, w którem pomieszczono jego zbiory oraz przedmioty i prace artystyczne, mające związek z działalnością poety.

Z muzyki. Towarzystwo muzyczne w Warszawie przyznało p. Janowi Żmigrodzkiemu stypendyum dwuletnie po 500 rb. rocznie, z zapisu Józefa Sikorskiego, na kształcenie się za granicą w nauce kompozycyi.

Zdrowie publiczne. Ministeryum zatwierdziło budowę szpitala na 25 łóżek w Żbikowie dla służby kolei W.-Wiedeńskiej; ma on kosztować 50,000 rb.

— Ustanowiony został nadzór sanitarny lekarski nad wszelkiemi statkami, berlinkami i tratwami na Wiśle, Narwi, Bugu i kanale Augustowskim.

— Dżuma w Kongo szerzy się coraz gwałtowniej.

— Z Santjago donoszą, że w Valparaiso i Talcahauno ukazała się dżuma.

Sprawy ekonomiczne. W ministeryum rolnictwa opracowywany jest obecnie projekt urządzenia t. zw. komitetów przemysłu domowego, których zadaniem będzie zajęcie się rozwojem tej gałęzi produkcyi i opieka nad wytwórcami. Komitetów tych ma być dwanaście. Do składu ich wejdą: przewodniczący, mianowany z pośród osób, obeznanych ze stanem przemysłu włościańskiego w danej miejscowości, referent, technik, instruktor oraz artysta-malarz lub rysownik, o ile natura przemysłu wymagać będzie jego wskazówek lub kierunku; wreszcie w guberniach, posiadających samorząd ziemski — delegat od ziemstwa.

— W rzeźni petersburskiej podjęto próby bicia bydła za pomocą elektryczności według systemu szwedzkiego inżeniera Ericksohna. W razie pomyślnych wyników system ten wprowadzony będzie w całem państwie rosyjskiem.

— Zatwierdzone zostały Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe w Tuszynie, pow. Łódzki i w Osięcinach, pow. Nieszawskim.

— Senat wyjaśnił, iż przy przejściu majątku nieruchomego od jednego właściciela do drugiego każdą drogą, prócz licytacyi publicznej, na nowego właściciela spada obowiązek zapłacenia wszelkich zaległości skarbowych, ziemskich, miejskich i innych opłat publicznych, jakie nagromadziły się za poprzedniego właściciela, chociażby wysokość tych zaległości nie była ujawniona w chwili przejścia majątku.

— Dnia 29 sierpnia otworzona będzie w Londynie międzynarodowa wystawa produktów spożywczych, hygieny i przemysłu, mającego z nią związek.

Koleje i komunikacye. Skutkiem licznych skarg, wnoszonych do ksiąg zażaleń kolejowych, ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie do wszystkich zarządów kolejowych, aby kasy ze sprzedażą biletów otwierano wcześnie, wagony utrzymywano w należytej czystości, rozciągnięto baczny nadzór nad bufetami i nad postępowaniem służby pociągowej z publicznością, a nadto polecono szybkie i sprawiedliwie rozstrzyganie wszelkich zażaleń i żądań podróżnych.

Katastrofy. W kopalniach Hanna, w stanie Wyoming, skutkiem wybuchu zginęło 234 górników.

— W Brukselli, na przedmieściu Schaerbeck, spotkał się pociąg pospieszny z towarowym, skutkiem czego kilkadziesiąt osób odniosło cięższe lub lżejsze rany.

Zmarli. Zygmunt Gorgolewski, dyrektor szkoły przemysłowej we Lwowie.



Stałemu prenumeratorowi w Białej. Z dzieł tyczących się giełdy, w polskim języku możemy wskazać: Zubelewicza: „O papierach publicznych,“ Courcelle-Seneuille'a: „O czynnikach bankowych,“ w tłomaczeniu Lewestama. Obfitsze wiadomości historyczne znajdzie Pan u R. van der Borghta: „Handel und Handelspolitik“ (praca nowa z wyczerpującą bibliografią przedmiotu), oraz w „Historyi handlu“ Cons'a (po francusku).

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Іюня 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.